odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok VI.
Łódź, 12. V. 63.
Nr 19 (271)
Cena zł 1.—

Lucjan Rudnicki na otwarciu pawilonu księgarskiego w rodzinnym Sulejowie w lipcu 1962 r.

Kiermasz „Domu Książki" w Łodzi na Starym Rynku

FELIKS BĄBOL

UWAGA, NERWICE

ŁÓDŹ • W JAKIEJ • ŻYJEMY

„Wydaje się, że nie będzie przesady, jeżeli psychonerwice nazwiemy nie tylko najbardziej rozpowszechnionymi, lecz także i najbardziej charakterystycznymi chorobami XX wieku..." (Zdzisław Rydzyński: „Rys historyczny kształtowania się pojęcia psychonerwicy. Ocena nowoczesnych definicji i klasyfikacji psychonerwic").

Ten sam specjalista, którego cytujemy na wstępie, stwierdza, że dział psychonerwic należy do najbardziej skomplikowanych zagadnień w medycynie. Na dobrą sprawę — jedyną rzeczą, na którą zgadza się większość autorów, jest źródło nerwic — uraz psychiczny. Poza tym wiadomo, że nerwicowiec nie wykazuje organicznego uszkodzenia tkanek, jego osobowość pozostaje nie zmieniona, większość zaburzeń dotyczy życia emocjonalnego. Zaburzenia te stanowią źródło innych objawów, choć zmiany psychiczne spowodowane nerwicami są w zasadzie odwracalne.

Jest faktem, że nerwice stały się we współczesnym świecie zjawiskiem masowym (w USA aż 80 proc. ludzi cierpi na nerwice. W Łodzi i województwie leczy się w tej chwili kilka tysięcy osób, ale jednocześnie stwierdzono, że specjaliści bynajmniej nie z zakresu psychiatrii a chirurgii, chorób wewnętrznych i ginekologii również i wśród swoich pacjentów znajdują w ostatnim czasie od 20 do 80 proc. chorych z nerwicami. Zresztą cóż znaczą te próby liczbowego określenia zjawiska nerwic w naszym społeczeństwie, jeśli wiadomo, że większość, chorych na psychonerwice stara się leczyć prywatnie czy nawet u znachorów? Wyobrażenia chorego na nerwicę o swym stanie są z reguły przesadne, nerwicowcem kieruje z reguły brak zaufania nawet do lekarzy renomowanych i głośnych, pewnie dlatego, że decyzja zwrócenia się o pomoc poprzedzona jest najczęściej wielką bitwą wewnętrzną chorego.

NEURASTENIA

Chory F.: od dwóch tygodni stał się ogromnie drażliwy, w związku z czym powstają konflikty w domu i w miejscu pracy. W biurze dezorganizuje wszystko. Zwołuje niepotrzebne narady, które prowadzi w sposób chaotyczny. W stołówce robi awanturę, gdy musi chwilę poczekać na podanie obiadu, czekanie doprowadza go do pasji. Ciągle się spieszy, jednak zamiast czekać na tramwaj, woli iść pieszo. Żyje w stałym napięciu. Pewnego dnia po powrocie z pracy, gdy żona zrobiła mu wymówkę, że wrócił późno i ona musi przygrzewać dla niego kolację, wrzucił przygotowaną potrawę do pieca, zaczął krzyczeć, robić wymówki żonie, że źle wychowała syna, że inne żony są — oczywiście — lepsze, wreszcie wyszedł z domu trzaskając drzwiami. Wrócił po godzinie zmęczony (chodził „wściekły" po ulicach) i na nowo rozpoczął z żoną kłótnię, czym ją wreszcie doprowadził do płaczu. Następnego dnia na zebraniu kilkakrotnie zabierał głos i w sposób niewłaściwy odnosił się do przedmówców i przewodniczącego.

Przyszedł do poradni specjalistycznej nakłoniony przez nauczyciela. Jako przyczynę swego stanu podał zmartwienia z powodu syna i rodzaj pracy, który mu nie odpowiada.

HISTERIA

Przebieg jej jest różny: od postaci lekkich ograniczających się do wybuchu afektywnego aż do ciężkich długotrwałych postaci z porażeniami, przykurczami, napadami. Jak mówią specjaliści — histerię charakteryzuje dysproporcja między słabą korą mózgową a silnym napięciem układu podkorowego. Dlatego do histerii skłonne są przede wszystkim typy artystyczne...

PSYCHASTENIA

U psychastenika każda nawet drobna sprawa może być przedmiotem nie kończących się rozważań, jeśli pojawiają

Dalszy ciąg na str. 4

ANTONI WOJCIECHOWSKI

PRACOWNICY HANDLU czy KULTURY?

Czy wiecie, że obecny kierunek rozwojowy księgarstwa na terenie województwa łódzkiego przewiduje budowę specjalnych dużych kiosków — pawilonów? I że te pawilony są częściowo fundacją rzeszy pracowników księgarskich?

Niewiarygodne, prawda? No, bo przecież księgarze nie należą do bogaczy, księgarstwo to zawód mało dziś u nas lukratywny. Trzyma przy nim ludzi tylko umiłowanie książki.

W minionym roku „Dom Książki" ustawił cztery pierwsze pawilony w Sulejowie, w Konstantynowie, w Kołuszkach i w Zelowie. W roku bieżącym przybędzie 8 dalszych.

Z powstaniem „Domu Książki" sprawa sprzedaży produkcji wydawniczej przestała być czynnością wyłącznie handlową, państwo włączyło ją do swej polityki kulturalnej. Ale że u nas zawsze z funduszami na kulturę krucho, przeto i „Dom Książki" musi na siebie zarabiać. Więc handluje także papierem, płytami, zabawkami. Zaciera się często księgarzom granicę, co jest ważniejsze: czy dochodowość czy cele kulturalne. Trudno przecież żądać entuzjazmu dla nierentownych różnych akcji i kiermaszy od ludzi wynagradzanych częściowo systemem prowizyjnym. Ale mimo wszystko „Dom Książki" buduje pawilony i rozwija swoją sieć, choć ani ilość etatów, ani fundusz płac nie wzrastają.

Warszawa ma dwa odrębne przedsiębiorstwa: jeden „Dom Książki" dla stolicy, a drugi dla województwa warszawskiego. Bo przecież zupełnie różna jest problematyka wielkiego miasta i tzw. terenu. W Łodzi jest jedno przedsiębiorstwo i ma ono obecnie tylko dwa odrębne piony handlowe. Rozwiązanie bardziej oszczędne — ale nie pozbawione również minusów. Godzi się jednak jakoś sprzeczne interesy w imię zwiększania ilości sprzedawanych książek. A rezultaty? W lokalu rady zakładowej wisi zdobyty trzykrotnie, a więc na własność, sztandar międzywojewódzkiego współzawodnictwa.

W roku 1950 „Dom Książki" miał 30 placówek detalicznych w Łodzi, a 42 na terenie województwa. Obecnie ma ich w mieście 38, a w województwie 43. W sieci księgarskiej miasta pracuje ponad 200 osób, w województwie 150.

W roku 1962 łączne obroty łódzkich księgarni wyniosły prawie 50 mln złotych. Obroty wszystkich księgarni z terenu województwa wyniosły prawie 27 mln zł. Oznacza to, że w mieście sprzedano około 4 milionów książek, na terenie województwa zaś około 2,5 mln. Czy to dużo, czy mało?

Każdy łodzianin kupił w przeciągu roku 6 książek, a każdy mieszkaniec województwa, 1,5 książki, „na głowę". Oczywiście cyfry te są przybliżone, choćby dlatego, że niejeden mieszkaniec województwa robi zakupy w Łodzi, tu zazwyczaj kupuje się droższe książki lekarskie czy

Dalszy ciąg na str. 5

Kilka uwag o rolnictwie województwa

OKIEM KONSUMENTA

Wiosna zwraca nasze zainteresowania ku wsi a więc i rolnictwu. Skorzystajmy przeto z tej okazji aby poinformować Czytelników o pewnych procesach i sytuacji w rolnictwie województwa. Oczywiście, w uwagach tych, z konieczności bardzo fragmentarycznych, nie możemy zapominać, że ta dziedzina produkcji w wielkim stopniu uzależnioną jest jeszcze od przyrody, która nie zawsze zbiorom jest łaskawa. Czytelnika, być może, zdziwi słowo: jeszcze. Spieszę więc wyjaśnić, że użyto go celowo, ponieważ stopień zależności od aury jednak się zmniejsza. Mimo to musimy być przygotowani na kaprysy atmosferyczne, które na przykład w ubiegłym roku przeciętnie obniżyły plony zbóż w województwie o około 2 q z hektara.

Gdybyśmy, wyłączając chwilowe zakłócenia, spojrzeli jak najogólniej na produkcję rolną województwa — musieliśmy stwierdzić następujące fakty: województwo zaspokaja w pełni swoje potrzeby i jego metropolii — Łodzi, w ziemniaki, mięso, mleko i jego przetwory, bardzo deficytowe natomiast jest w zboża. Żaden powiat nie jest w tej dziedzinie samowystarczalny. Przyczyna tej sytuacji jest znaczny rozwój produkcji zwierzęcej, za którą nie nadaża roślinna. Jest to zresztą zjawisko ogólnokrajowe, o czym tak obszernie mówiono na XII Plenum KC PZPR.

Stworzenie więc odpowiedniej do potrzeb — bazy paszowej, zmniejszenie wysokiego, bo wynoszącego ponad 2,5 mln. ton zboża importu rocznie, urosło do miary zasadniczego problemu.

Jakie drogi prowadzą do tego celu? Wymienię tylko niektóre: rozszerzenie upraw pszenicy, bardziej od żyta plennej, rozszerzenie upraw roślin motylkowych, rozwój mieszalnictwa i suszarnictwa pasz.

Jest niewątpliwym paradoksem, że pszenica zajmowała przed wojną o 15 tys. ha więcej w województwie niż obecnie, mimo że kultura rolna znacznie wzrosła (obecnie wysiewamy średnio 7 razy tyle nawozów sztucznych, co przed wojną).

Dlatego też w przyjętym przez egzekutywę KW PZPR planie, zapewniającym realizację uchwały XII Plenum, prócz wielu innych zadań sformułowano i to: rozsze-

Dalszy ciąg na str. 2

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

MIECZYSŁAW SZADKOWSKI

Na Widzewie, w ZPB 1 Maja Mieczysława Szadkowskiego nazywają „starym". Nasz stary — mówią — krzywdy nikomu nie da zrobić. Do dyrektora idzie każdy, kto czuje się pokrzywdzony, kto potrzebuje rady i pomocy. Jak mówią, naczelny dyrektor pamięta imiona większości swoich robotników, wie ile w rodzinie jest dzieci, kto zachorował, wystąpił nawet parokrotnie w roli swata. Do dyrektorskiego gabinetu idzie się paradnymi schodami, ale to jakoś nikomu nie przeszkadza. Świetność panującego tu niegdyś Kohna zbladła przez te ćwierć wieku, jakie minęło już prawie od czasu wybuchu wojny i rzadko kto pamięta teraz o tamtych czasach. I tylko na przybyszu z zewnątrz, wystrój tego przyfabrycznego budynku może robić wrażenie przywołując historię Widzewskiej Manufaktury. Na co dzień w fabryce nikt historią się nie zajmuje. Życie i produkcja przynoszą sprawy i konflikty od tamtych odległe i kiedy trafiają one do dawnego gabinetu Kohna, gdzie panuje od ośmiu lat inżynier Szadkowski — mają już inny sens i znaczenie. Kohn zepchnięty w przeszłość dla współczesności Widzewa nic nie oznacza, a ślady po nim powoli giną. I za parę lat z pewnością pozostanie już tylko legenda. „Dyrektorski stołek — mówi inż. Szadkowski — przynosi tyleż zaszczytu, co ciężkich obowiązków. W naszym zakładzie pracuje ponad 5.000 ludzi, produkujemy w przeciągu godziny tyle bawełnianej nitki, że można by nią było opasać wokół kulę ziemską. A pracujemy codziennie całą dobę. I gdybym myślał o tym abstrakcyjnie, odpowiedzialność jaką ponoszę, odpowiedzialność za ludzi, maszyny, bawełnę, byłaby nie do udźwignięcia. Paraliżowałaby moją działalność. Na szczęście odpowiedzialność w fabryce kładzie się na sprawy doraźnie wymagające decyzji, na sprawy konkretne wynikłe z problemów technicznych i ekonomicznych. A z tym musimy sobie radzić nie wdając się w abstrakcyjne rozważania".

Pan Szadkowski pracuje w przemyśle włókienniczym lat trzydzieści osiem. Zaczynał w przędzalni Rozenblata i Silbersztajna na ul. Wigury, jako praktykant w 1925 roku. Potem, pracował przez wiele lat u Eitingona (dziś Zakłady im. Dubois) przechodząc kolejno wszystkie stopnie wtajemniczenia we włókienniczy fach, aż tuż przed wybuchem wojny został w tejże fabryce majstrem. (Miał już wtedy za sobą Szkołę Włókiennicza).

„W czasie wojny pracowałem dalej, jakoś nie zwolnili mnie, ani nie wywieźli, byłem dobrym fachowcem i byłem potrzebny. Kiedy Niemcy uciekali z Łodzi, zabezpieczaliśmy maszyny i mienie fabryki, potem je uruchamialiśmy. Wtedy załoga obwołała mnie dyrektorem. Gdzie mi było do dyrektora. Nie zgodziłem się. Ale kierownikiem zostałem. Nie było fachowców, zacząłem studiować na wydz. włókienniczym Politechniki Łódzkiej. Były to studia wieczorowe. Kurs przyśpieszony. Potem przeniesiono mnie do Zakładów im. Stalina, dziś Obrońców Pokoju. Awansowałem na zastępcę dyrektora, potem pracowałem jeszcze w Zakładach Kunickiego i Zakładach Marchlewskiego. Kiedy otrzymałem stanowisko naczelnego dyrektora na Widzewie, nasz zakład był najgorszy w Zjednoczeniu. Prawdę mówiąc niechętnie obejmowałem to stanowisko. Bardzo się bałem, że nie dam sobie rady. Byłem czternastym z kolei dyrektorem. Ale — jak to mówią — jak chcesz to możesz".

„Wykonywałem w przędzalni wszystkie prace — mówi — i wiem ile można od pracownika żądać. Rozumiem robotników i umiem z nimi rozmawiać. Znam robotę, znam każdą maszynę, wiem jak należy wykonać każdy ruch, dlatego nie daje się oszukiwać. Ale np. księgowość, to była dla mnie abstrakcja. Liczba musi dyrektorowi coś mówić, i musi coś znaczyć. Na tym stanowisku trzeba być nie tylko technikiem, trzeba być ekonomistą. Postanowiłem zdobyć wykształcenie ekonomiczne. Teraz mam przed sobą jeszcze napisanie pracy magisterskiej". „Tutaj na Widzewie panują bardzo specjalne obyczaje, obowiązuje tradycja. Trzeba to wszystko poznać, czy tych ludzi rozumieć. W fabryce przed wojną istniały bardzo wyraźne podziały zachowana była hierarchia wiedzy fachowej, zarobków. Majster np. to była dla robotnika instancja najwyższa. Powoli te stosunki w fabryce się zmieniają. Coraz więcej zatrudniamy fachowców, inżynierów, techników, ekonomistów, mechaników. Będziemy zatrudniać za parę lat tylko robotników wykwalifikowanych. Mamy własną szkołę przyfabryczną; będziemy mieli przadki „przez nas wykształcone". „Zawsze powtarzam, że drogocenne są maszyny i surowce, ale najdroższy i najważniejszy jest człowiek. O niego trzeba dbać, jemu stwarzać jak najlepsze warunki pracy. Kiedy przadka jest zdenerwowana, lub boli ją zab, źle, nieuważnie pracuje, tracimy na tym wszyscy. W fabryce istnieje system współzależności, przadka mniej zarabia, my mniej produkujemy. Tracimy w ten sposób wszyscy".

„Mamy w fabryce kursy psychologii dla mistrzów. Po co te kursy? Od mistrza w znacznym stopniu zależy ład i porządek produkcji, atmosfera pracy, stosunki między ludźmi. Dzięki wiedzy z zakresu psychologii mistrz łatwiej znajdzie wyjście z konfliktowych sytuacji, będzie umiał je łagodzić".

„Dyrektor nie może chodzić tylko szerokimi gankami, trzeba chodzić też krużgankami. Na gankach zawsze jest porządek. Załoga musi wiedzieć, że jestem po to, by dbać o jej sprawy. Musi mieć do mnie zaufanie. A zaufania nie zdobywa się tylko zza biurka dyrektorskiego gabinetu. Trzeba być z ludźmi, trzeba się nimi naprawdę i serdecznie interesować. Wychowanie załogi to chyba dla każdego dyrektora sprawa najistotniejsza. Kiedyś robiąc inspekcję nocnej zmiany zastałem pracujące trzy kobiety w ciąży. Nie wolno zatrudniać w tym okresie kobiet w nocy. Majster został ukarany, ale okazał się niepoprawny. Wtedy koledzy, inni majstrowie pomogli nam, zupełnie przez nas nieinspirowani. Użyli odpowiednich argumentów. To było nasze zwycięstwo.

Załoga wie, że w trosce o jej zdrowie założyliśmy ambulatorium, aptekę, sklepiki spożywcze, obuwie ochronne, fartuchy i umie się za to odwdzięczać".

„Na Węgrzech oglądałem nowoczesną fabrykę, budynki jednopiętrowe, maszyny cichobieżne. Do hałasu można się przyzwyczaić, trudniej znieść upał panujący na salach. Niedługo będziemy mieli nowoczesną klimatyzację, będzie wtedy łatwiej i zdrowiej pracować, to co jest zmorą, ustawiczne pragnienie — nie pomaga tu ani kawa, która cała dobę jest w kranach, ani w lecie specjalnie parzona mięta — przestanie robotnikom dokuczać".

Inż. Szadkowski najchętniej rozmawia o sprawach fabryki i trudno go sprowokować do innych rozmów. „W domu nie mówię nigdy o zakładzie. Staram się odpoczywać oglądając program telewizyjny, ucząc się języków".

Dyrektor uczy się teraz włoskiego. Zakłady zakupiły włoskie maszyny, przyjadą włoscy specjaliści. „Muszę się z nimi umieć porozumieć, kiedyś uczyłem się węgierskiego i nieźle go nawet opanowałem, dobrze znam niemiecki. Ciągle tu ktoś do nas przyjeżdża i nieznajomość języków utrudniałaby konieczne porozumienie".

Codziennie przyrzekam żonie, że wrócę wcześniej i że pójdziemy na spacer na Piotrkowską zobaczyć nowości. I codziennie odkładamy tę przechadzkę na następny dzień".

PROFESOROWI

W ostatnich dniach kwietnia, nauka i literatura polska poniosły ciężką i niepowetowaną stratę. Opuścił nas na zawsze profesor doktor Juliusz Saloni.

W chwili, kiedy piszę te bolesne słowa, spojrzenie moich oczu odrywa się mimo woli od kartki papieru i z wysokości pierwszego piętra zatrzymuje się na szerokich oknach parteru, tych, za którymi przez kilkanaście lat widywałem jego smukłą sylwetkę pochyloną nad biurkiem w ciepłym kręgu lampy.

Patrzę i jest mi trudno pogodzić się z tym, że już nigdy nie zobaczę swego Profesora.

I właśnie teraz niemal niespodziewanie przychodzi mi na myśl, że Profesorem nazywali go nie tylko wychowankowie gimnazjalni, słuchacze Jego znakomitych wykładów na Łódzkim Uniwersytecie, czy też Wyższej Szkole Teatralnej i Filmowej. Profesorem nazywali Go koledzy pisarze, dla których miał zawsze wiele czasu, serdecznej życzliwości i cennych, mądrych rad. Do Profesora szło się „jak w dym" o każdej porze dnia i nocy, z każdą troską i każdym twórczym problemem. Jego bogata biblioteka była traktowana przez łódzkich pisarzy jak wspólne dobro, jakże często nadużywane. Profesorem tytułowali Go również aktorzy i to nie tylko z teatrów, w których pełnił dawniej funkcję kierownika literackiego. Po prostu wszyscy, z którymi zetknęły Go sprawy teatru tak bardzo pasjonującego Go przez całe życie. Był wreszcie Profesorem dla dozorcy w naszym domu, dla listonosza i nawet dla dzieci bawiących się na podwórku.

Dziś dopiero rozumiem w pełni, że tytuł ten krył w sobie nie tylko uznanie dla Jego głębokiej wiedzy, dla ogromnej pracy włożonej w opracowanie podręczników szkolnych, na których wychowały się całe pokolenia, czy też znakomitych opracowań dramatów Wyspiańskiego, odkrywczych prac na temat twórczości Mickiewicza i Słowackiego, czy wreszcie świetnych przekładów z literatury niemieckiej. Zrozumiałem, że ten zaszczytny tytuł — Profesora — został mu nadany powtórnie, poza drogą oficjalną, jako wyraz szacunku, i głębokiej wdzięczności za dobre, gorące serce, które na każdym kroku okazywał wszystkim ludziom.

Poza kilkoma wierszowanymi utworami dla dzieci, Profesor nie zostawił po sobie większego dorobku poetyckiego. A jednak był poetą, poetą z krwi i kości, czułym na muzykę i rytm wiersza jak na czysty ton skrzypiec, które ukochał najbardziej ze wszystkich instrumentów. Profesor przeczuwał swoje odejście, ale nie załamał się. Jak zawsze, pełen pogody do ostatniej chwili zajmował się pracą literacką. Pisał nawet zabawne fraszki. Któregoś dnia pokazał mi wiersz w formie, jak się wyraził, jeszcze niewygładzonej. Oto ostatnie jego strofy:

Tak życie się dopali, nim zginie w niepamięci
Legendą o człowieku, co służył wszystkim rad,
Co nie był niczym w życiu, był tylko pełen chęci,
Potrzebny by lżej było, po prostu: człowiek-brat.

Bądź spokojny, Profesorze. Dobra pamięć o Tobie pozostanie i to nie tylko w Łodzi, w mieście, któremu oddałeś wiele swej żarliwości i zapału, ale pamięć ta żyć będzie w pięknej legendzie, do której jak do nieśmiertelnego tematu, sięgać będą zawsze Twoi koledzy pisarze i wszyscy ludzie, którzy mieli szczęście poznać Cię bliżej. Żegnaj Profesorze!

IGOR SIKIRYCKI

OKIEM KONSUMENTA

(Dalszy ciąg ze str. 1)

rzyć uprawę pszenicy do 70 tys. ha, łącznie zaś z jęczmieniem — do 100 tys. ha.

Nie jest to sprawa bagatelna. Wyliczono bowiem, że gdyby udało się powiększyć zbiory przeciętnie do 20 q z ha — województwo byłoby samowystarczalne (przypominam: w roku 1961 średnia dla województwa wynosiła 18,1, w r. ub. — 15,9).

Czy zmiana struktury zasiewów jest zadaniem łatwym? Na pewno nie. Mamy jednak ku temu odpowiednie warunki — istniejące plany gromadzkie pozwalają koordynować zamierzenia produkcyjne w setkach tysięcy naszych rozdrobnionych gospodarstw. Zadanie to ułatwia także samorządna organizacja chłopska — kółka rolnicze.

Oczywiście, nie zamierza się rozszerzać upraw pszenicy kosztem roślin przemysłowych — zbożowe w województwie zajmują i tak 59,5% powierzchni zasiewów, podczas gdy w kraju — 57.0%, ale — kosztem żyta i owsa.

Wspomniałem powyżej, że deficyt zbożowy ma swe źródło w szybszym rozwoju produkcji zwierząt. Można to udokumentować liczbami. Jeśli rok 1955 przyjmiemy w kraju za 100, to odpowiedni wskaźnik mięsa w r. 1960 wyniesie 127,4, w r. 1962 — 142,5. W woj. łódzkim obsada zwierząt na 100 ha użytków rolnych jest znacznie wyższa niż przeciętna krajowa.

Na XII Plenum podano dane, z których wynika, że spożycie mięsa średnio na 1 mieszkańca wzrosło w kraju w wymienionym powyżej okresie o 22,8%.

Podkreślam: takie są ogólne tendencje. To zastrzeżenie jest konieczne choćby dlatego, że zima i w tej dziedzinie wyrządziła szkody. Przeprowadzone ostatnio badania w 32 kontrolnych gospodarstwach wykazały pewien spadek stanu pogłowia trzody, a mięso wieprzowe w ostatecznym rachunku decyduje przecież na rynku. Na szczęście „cykl produkcyjny wieprzowiny" nie jest długi i tendencje spadkowe na pewno ustąpią.

Z tych samych powodów — trudnego okresu zimy — jest w sprzedaży mniej nieco mleka co jednak nie rozgrzesza dystrybutorów, pod adresem których można mieć pewne uwagi.

O postępie w rolnictwie decydują w zasadniczy sposób inwestycje.

Nie próbując nawet szerzej dotknąć tego olbrzymiego tematu, któremu w znacznym stopniu poświęcone było XII plenarne posiedzenie KC, decydując o podniesieniu i tak wysokich nakładów inwestycyjnych państwa na rolnictwo (10,3 mld. zł w roku 1962) — przypomnijmy Czytelnikowi, na co przede wszystkim łoży się te sumy w województwie łódzkim.

Z prawie 380 mln. zł przeznaczonych w br. w planie terenowym na inwestycje rolne — 158 mln. zł, a

W produkcji zbóż woj. łódzkie zajmuje szóste miejsce w kraju, w produkcji ziemniaków — czwarte.

Obsada zwierząt gospodarskich na 100 ha użytków rolnych, jak również produkcja mleka, wyższe są od przeciętnej krajowej.

W krajowym skupie produktów rolnych województwo łódzkie partycypuje w 6,5 proc.

Pod względem produkcji towarowej rolnictwo woj. łódzkiego zajmuje siódme miejsce w kraju.

Produkcja globalna z 1 ha użytków rolnych szacowana jest w województwie na 10.300 zł.

więc pozycję największą, stanowią melioracje. Uregulowanie stosunków wodnych jest bowiem jedną z najpoważniejszych rezerw podniesienia produkcji roślinnej. Co znaczą melioracje — mogli przekonać się wszyscy rolnicy, niestety często „na własnej skórze", w roku ubiegłym, kiedy to wiosna nie poskąpiła nam opadów.

Wzrastające z roku na rok środki inwestycyjne na rolnictwo, troska o to, by wydatkowany grosz jak najszybciej i jak najlepsze przynosił efekty produkcyjne, konieczność koordynowania pracy licznych instytucji i organizacji związanych z rolnictwem, a także działalności wiejskich organizacji partyjnych legła u podstaw pewnej myśli, która niebawem przybierze realny kształt. To nowum polegać będzie na zastąpieniu dotychczasowych form organizacyjnych kierowania rolnictwem przez instancje partyjne — innymi, dostosowanymi do obecnych wymogów.

Uznano za słuszne powołanie na szczeblu centralnym, wojewódzkim i powiatowym takiego organu, który skupiałby przedstawicieli wszystkich instytucji i organizacji, działających na wsi lub też pracujących dla potrzeb rolnictwa.

Występuje również potrzeba powołania centralnej i wojewódzkich komisji do spraw kadr rolniczych, jako że specjalistów rolnictwa można dziś spotkać często w instytucjach ze wsią nie mających nic wspólnego.

O tych nowych zamierzeniach wspominam dlatego, aby wykazać Czytelnikom, że w ślad za zwiększoną pomocą państwa dla rolnictwa podejmuje się kroki organizacyjne, które niewątpliwie pomogą zapewnić pełniejszy rozwój rolnictwa, a więc i lepsze zaspokojenie potrzeb kraju.

W ciągu ostatnich lat wieś polska, w tym i łódzka, znacznie podniosła poziom produkcji roślinnej i zwierzęcej. Nie o tyle jednak, byśmy nie mieli już powodów do narzekań. Dlatego też rolnictwo znajduje się ciągle na porządku dnia...

W. B.

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

OGLĄDAMY *na* EKRANACH

Zjawiskiem niewątpliwie normalnym jest, że przed premierą opatruje się film wszystkimi dostępnymi przymiotnikami, które by zachęciły przyszłych widzów do jak najszybszego udania się do kasy. Czasami nawet wszystkie owe przymiotniki z „naj" i „super" mogą mieć pozorne pokrycie w danym filmie dzięki zgrabnej, poprawnej reżyserii i atrakcyjnej obsadzie aktorskiej. Podobnie sytuacja wygląda w przypadku filmu też. Masellego „NASTĘPCY TRONÓW", w którym grają Claudia Cardinale, Betsy Blair, Antonella Lualdi i Gerard Blain, a którego fabułą jest historyjka przypominająca schematy fabularne „Wałkonia" Felliniego i „Głównej ulicy" Bardema — losy kilkorga młodych, zamożnych ludzi nudzących się w prowincjonalnym, włoskim miasteczku. Ponieważ o wartościach artystycznych i ideowych filmu nie decyduje fabuła, trudno wystawiać jej podobieństwa, a nawet schematyczność, jako główny zarzut pod adresem autorów wymienionego filmu. Wątpliwości i zastrzeżenia powstają przede wszystkim, co do treści artystycznych „Następców tronów", w którym to utworze próbuje się widza kupić „atrakcyjnością" kulis moralno-obyczajowego życia bogatych warstw społeczeństwa włoskiego, lub też uraczyć widzów dosyć tanim erotyzmem jaki niewątpliwie w filmie starano się pokazać. Oczywiście pomocą nie do pogardzenia dla nadania filmowi czysto atrakcyjnych, kasowych efektów są nazwiska popularnych aktorów.

O wiele ciekawiej, choć chyba nie oszałamiająco przedstawia się porcja komedii filmowych, którą nas dość hojnie obdarzyła w kwietniu i maju Centrala Wynajmu Filmów.

„DWIE STRONY MEDALU" należą do przeciętnej klasy angielskiej produkcji w dziedzinie komedii filmowej. Raczej niewinnie kłująca satyra tej groteski, adresowana jest do bez mała wszystkich obywateli Albionu. Całość zaś jest o tyle przyjemna, że ma sporo dowcipnych gagów i dowcipów na temat angielskiego społeczeństwa i jego obyczajowości łącznie z „Gniewnymi" młodymi ludźmi i ich twórczością „obnażającą" zgniliznę moralną pozornie dostojnych i szanowanych warstw społeczeństwa brytyjskiego". Dwie komedie kryminalne sięgają do typowego genre'u angielskiej komedii kryminalnej. „ALIBI DOSKONAŁE" reż. Roberta Daya jest świetnie zrealizowaną komedią, nieco przypominającą „Lige dżentelmenów". Jej bohaterami są przestępcy kryminalni ukazani podczas sprawnego działania, którego celem jest zdobycie bajkowych w swej wartości drogich kamieni. „Alibi doskonałe" zaskakuje wieloma zabawnymi sytuacjami. Perypetie bohaterów, ich kapitalne sylwetki, dowcipna pointa decydują o powodzeniu całości. Oczywiście angielska komedia kryminalna, to nie tylko dowcip, humor i gagi, to również satyra.

W pewnym sensie kontynuacją pod względem tematycznym wymienionej komedii reż. Daya jest nieco słabsza w realizacji i pomyśle filmowa groteska w reżyserii Ken Annakina „KANCIARZ SPÓŁKI AKCYJNEJ", w której ukazane są zabawne losy przestępcy sprowadzanego prawie siłą przez narzeczoną na drogę cnoty, uczciwości, zaniechania raz na zawsze nałogu otwierania sejfów i wyciągania bliźnim portfeli. Pomocą służy w tym wypadku organizacja eksprzestępców, którzy prowadzą zakład „odwykowy" i czuwają w charakterze „aniołów stróżów" nad „wyleczonymi" wychowankami. Jeden tylko taki przypadek wezwania na pomoc „anioła stróża" w potrzebie pokusy otworzenia sejfu powoduje zabawne w skutkach dla całej spółki konsekwencje nie pozbawione kilku świetnych sytuacji, w których odnajdujemy wspomnianego już przy omawianiu „Alibi" Wilfrida Hyde White'a.

Stary mistrz komedii filmowej reż. Ernest Lubitsch zrealizował komediofarsę, której przedmiotem są perypetie wysłannika polskiego rządu londyńskiego oraz agenta gestapo do okupowanej Warszawy. Oczywiście, można mieć wiele zastrzeżeń co do realiów okupowanej stolicy spreparowanej w Hollywood w roku 1942. Niemniej należy stwierdzić, że „BYĆ ALBO NIE BYĆ" jest kapitalną zabawą, którą trzeba przyjmować z pewnym przymrużeniem oka na wszelkie rażące nas odstępstwa od znanych nam realiów. Dobrze się stało, że w trakcie opracowywania filmu pomyślano o polskiej ekspozycji filmu, w pewnym sensie prologu skierowanym do polskich widzów, który wygłasza Kazimierz Rudzki. Dzięki temu film staje się czytelny, a jego farsowość zostaje od razu z góry założona. Lubitsch znakomicie buduje sytuacje i znajduje świetne i zaskakujące rozwiązanie. Wszyscy zwolennicy komedii filmowej mają więc tym razem sporo do wyboru, jak również chyba i do zadowolenia z miłej zabawy. Brawo CWF!

MIESZANKA FILMOWA

WESTERN

Joan Crawford w filmie „Johny Guitare"

Kto z nas, miłośników kina, nie jest jednocześnie bez względu na wiek, płeć i przynależność narodową miłośnikiem westernu — filmu nad filmami? Legenda Pogranicza zrodziła się na kartach trzeciorzędnej sensacyjnej literatury i dopiero film nadał jej rangę „złotej" legendy, rycerskiej pieśni naszego wieku. Bohaterami jej byli zdobywcy Dzikiego Zachodu, rycerze „bez lęku i skazy", szlachetni szeryfowie, odważni kowboje, obrońcy prawa i sprawiedliwości, pionierzy cywilizacji. Pierwsze westerny powstały już w początkach istnienia kinematografii (np. „Napad na ekspres" Portera, filmy z Tomem Mixem, itd.). W r. 1914 Cecil de Mille zrealizował pierwszy western na dużą skalę „The Virginian". Nowy rozdział w historii tego gatunku otworzyła II wojna światowa. Okrutne doświadczenia wojenne zadały kłam wyidealizowanemu, cukierkowemu światu westernowych bohaterów. Specyficzne konwencje gatunku pozostały niemal niezmienione, zmieniła się natomiast wypełniająca je treść. Najgłębszym przeobrażeniom ulegli sami bohaterowie. Nieskazitelni, idealni, stali się nagle zwykłymi ludźmi, nie pozbawionymi egoizmu, a nawet cynizmu, pełnymi wahań, wątpliwości, a nawet lęku („Rio Bravo", „W samo południe", „15,10 do Yumy") stali się tylko ludźmi. I właśnie ludźmi. Często zmęczonymi, często tęskniącymi do spokojnego, normalnego życia („W samo południe", „Siedmiu wspaniałych"), a przecież skazanymi na walkę, na heroizm wbrew samym sobie.

Tak oto western wchłonął w siebie nie tylko psychologię ale i filozofię egzystencjalistyczną. Z optymistycznej afirmacji istniejącego ładu przeobraził się w tragiczny moralitet. Wreszcie, nie tracąc nic ze swego uroku, western zaczął godzić w mity tkwiące u jego źródeł („7 wspaniałych", „Biały kanion"). Narodził się antywestern. Ale to nie oznacza zmierzchu ballady Pogranicza. Zwycięski pochód westernu przez ekrany świata trwa dalej. Najlepszym tego dowodem, najświeższej daty wielki cineramiczny film „Podbój Zachodu".

Western ma swoich ulubionych bohaterów. Należą do nich Buffalo Bill czyli Bil Cody, człowiek, który uratował życie ginącym z głodu budowniczym kolei mającej połączyć Atlantyk z Pacyfikiem, dostarczając im mięsa z upolowanych przez siebie bawołów. Stąd przydomek Buffalo. Poświęcono mu około piętnastu filmów, m. in. „Żelaznego konia" J. Forda (r. 1924), „Buffalo Bill" W. Wellmena (1944 r.). Ostatnim wcieleniem Billa był Charlton Heston w filmie „Zwycięstwo Buffalo Billa".

Davy Crockettowi poświęcono 9 filmów, m. in. „Alamo" z Johnem Wayne.

14 filmów opiewało losy Jesse Jamesa i jego brata Franka. Jamesa grał m. in. Tyrone Power („Jesse James" H. Kinga, r. 1939) i Robert Wagner („Jesse James" N. Raya, 1956).

Billy the Kid miał 10 wcieleń, z których warto wymienić Roberta Taylora („Billy the Kid" Millera r. 1941) i Paula Newmana („Mańkut" A. Penna, r. 1956). Wild Bill Hickok był bohaterem 9 filmów. Największą popularność przyniosła mu znakomita kreacja Gary Coopera w filmie De Mille (r. 1936).

Wyatt Earp został bohaterem sześciu filmów, m. in. „Miasta bezprawia" J. Forda (w roli gł. H. Fonda i „Rozprawy w OK Corral" J. Sturgesa (w roli Earpa — Burt Lancaster). W tychże filmach piękną rolę Doca Hollidaya zagrali kolejno V. Mature i K. Douglas. Rolą Calamity Jane — jednej z nielicznych kobiecych heroin westernu — wsławiły się kolejno Jean Arthur, Jane Russel i Doris Day.

Western ma swoich ulubionych aktorów. Należą do nich John Wayne, mający na swoim koncie około 20 ról w tym gatunku, m. in. w takich filmach jak „Rio Grande", „Rio Bravo", „Podbój Zachodu" i in., Gary Cooper — bohater filmów „W samo południe", „Vera Cruz", „Człowiek z Zachodu" i in., Errd Flynn występujący m. in. w „Zdobywcach", „San Antonio" itd., Randolph Scott („Bohaterska karawana", „Colt 45" itd.); Henry Fonda znakomity wykonawca głównych ról w „Mieście bezprawia", „Powrocie Franka Jamesa", „Podboju Zachodu" i in., nieśmiały szlachetny James Stewart („Złamana strzała", „Winchester 73" itd.); Burt Lancaster („Vera Cruz" i in.), Kirk Douglas („Indiański wojownik" i in.). Bohaterami westernów były największe sławy filmu amerykańskiego. Wystarczy wymienić nazwiska Clarka Gable, H. Bogarta, Holdena, Powera, Brynnera, Quinna, Pecka, Glenna, Forda.

Są dwa westerny „Pojedynek w słońcu" Vidora i „Johny Guitare" Raya, w których główną rolę odgrywają postacie kobiece. W ostatnim filmie znakomitą kreację kobiety - kowboja stworzyła Joan Crawford.

Niektórzy reżyserzy szczególnie upodobali sobie western. Królem westernu można by nazwać J. Forda, twórcę najbardziej płodnego, ale zarazem i najświetniejszego, autora „Dyliżansu" i „Miasta bezprawia". Fordowi sekundują dzielnie Anthony Mann — twórca m. in. „Winchesteru 73", John Sturges („7 wspaniałych"), Delmer Daves („Złamana strzała", „15.10 do Yumy"), N. Ray („Nieujarzmieni"), „Raoul Walsh" („Dolina strachu"), C. de Mille, Fritz Lang, King Vidor i inni. Howardowi Hawksowi zawdzięczamy jedno z arcydzieł gatunku „Rio Bravo". Zresztą niewielu było amerykańskich twórców filmowych, którzy by choć raz nie pokusili się o realizację westernu. Wystarczy wymienić Zinnemana („W samo południe"), Aldricha („Vera Cruz", „Ostatnia walka Apacza"), Wellmana, Stevensa („Jeździec znikąd"), Wylera („Biały kanion") i tylu, tylu innych.

Opr. **M. K.**

Gary Cooper w filmie „Człowiek z Zachodu"

Tydzień w telewizji

Bez REWELACJI lecz SOLIDNIE

Ten tydzień telewizyjny nie wyróżnił się żadną specjalnie cenną pozycją programu; nie było w nim rewelacyjnych audycji — ani teatr, ani publicystyka, ani wreszcie najbardziej „chwytliwe" programy rozrywkowe nie wyszły poza przeciętność. Szarą przeciętność, powiedziałbym. Nie znaczy to zresztą wcale, że uważam miniony tydzień w telewizji za nie udany czy jałowy. Nie, gdyż wolę przeciętnie a poprawnie zrealizowany program od rewelacyjnej chały. W telewizji został już jakby osiągnięty możliwy pułap artystyczny i treściowy, od którego rzadko kiedy jakiś program odbiega, wywołując oczywiste aplauzy i zachwyty.

Mistrzem od klimatu jest Jerzy Antczak. Reżyserował on w ubiegłym tygodniu Kobrę, nadaną tym razem z Łodzi pióra J. Janczura, który jest niejako „etatowym" już autorem widowisk kryminalnych, za co zresztą otrzymał w ostatnich dniach nagrodę Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. Niestety, „Kolekcjoner" okazał się jednym z gorszych widowisk kryminalnych laureata — była to bardzo kiepska „Kobra" — o sztucznej intrydze, w której zostały nachalnie powtórzone wszystkie — tak doskonale, do znudzenia już nam znane — kryminalne „chwyty", na domiar złego, skomponowane w sposób, zaprzeczający logice. Niemniej, przy tej Kobrze można było zabawić się zupełnie znośnie, a to — dzięki znakomitej reżyserii i znakomitym wykonawcom. Autorzy dali tutaj prawdziwy koncert gry, może najmniej przekonywający okazał się Leon Niemczyk, czego jednak nie należy mu mieć za złe, gdyż jego rola „czarnego typa" była najbardziej niewdzięczną — nie owijając w bawełnę — no prostu głupia i płaską rolą „Kolekcjonera".

Poza teatrem poniedziałkowym i Kobrą nie mieliśmy więcej premier teatralnych na małym ekranie. Obejrzeliśmy co prawda jeszcze transmisje z Teatru Klasycznego w Warszawie, „Lodoiskę" Bogusławskiego, sądzę jednak, że mało komu spodobała się ta stara i nieco nudna „śpiewogra".

Z audycji publicystycznych należy przede wszystkim wymienić trzy: „Krakowskie Miasteczko Uniwersyteckie" (29. IV), „Trust mózgów odpowiada" (3. V.) oraz „Spłaty rodzinne" (3. V.). „Uniwersyteckie miasteczko", program przygotowany przez Krakowski Ośrodek Telewizyjny, według scenariusza J. Soleckiego, poświęcony został Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, który obchodzi 600-lecie swego istnienia. Program Soleckiego przedstawił szeroki rys historyczny uczelni krakowskiej, jej działalność w ciągu minionych stuleci, uwzględniając szczególnie okres wspaniałego rozkwitu na przełomie XV i XVI wieku i jakby zestawiając go z aktualną działalnością Uniwersytetu. Ta konfrontacja historii ze współczesnością, była najciekawszym momentem w audycji.

Cykliczny program: „Trust mózgów odpowiada" — który cieszy się ogromnym zainteresowaniem telewidzów i spełnia funkcję masowego popularyzatora wiedzy — zajął się tym razem problemem przeżyć psychicznych człowieka. Na pytania — czy uczuciowość jest wrodzona czy też nabyta, w jakim kierunku rozwija się ewolucja uczuć człowieka, czy obecny rozwój cywilizacyjny sprzyja pogłębianiu się dyspozycji emocjonalnych człowieka oraz na szereg innych — odpowiadali: prof. Uniwersytetu Warszawskiego, historyk literatury polskiej, dr Zygmunt Jakubowski oraz psycholog, docent dr Stanisław Gerstmann.

Wreszcie, najcelniejszą chyba pozycją tygodnia telewizyjnego okazał się program zatytułowany „Spłaty rodzinne". Program bardzo ambitny, gdyż sięgnął do pogardzanej tematyki wiejskiej: zajął się palącym problemem społecznym — podziałem majątkowym gospodarstw wiejskich i związanymi z tym rodzinnymi spłatami. Tradycyjne podziały majątkowe i spłaty gospodarstwa stanowią jedną z poważniejszych przyczyn rozdrobnienia i gospodarczego wyniszczania wsi polskiej, której zadłużenie sięga w tej chwili dziewięciu miliardów złotych. W audycji wypowiadali się: socjolog, ekonomista oraz bezpośrednio zainteresowani sprawą podziału chłopi. Pomimo trudnego tematu, program został bardzo ciekawie zrealizowany (dobry montaż, doskonałe sekwencje filmowe), i co ważniejsza — wysunął szereg rzeczowych postulatów, które mogą się stać przyczynkiem przy regulowaniu kwestii podziałów i spłat rodzinnych.

Program rozrywkowy był w tym tygodniu raczej ubogi. W niedzielę (5. V.) wysłuchaliśmy koncertu muzyki popularnej i rozrywkowej, który chyba więcej znużył niż zabawił. Piszę też celowo „wysłuchaliśmy", gdyż koncert transmitowany z sali Filharmonii Narodowej, był statyczny, rozwlekły i... radiowy. Bardziej do słuchania niż do patrzenia. Podobnymi „zaletami" wyróżnił się także sobotni program „Piosenki z polskich nagrań". No cóż, Bożena Grabowska tańczyła i śpiewała madisona, co już swego czasu oglądaliśmy w „Muzyce lekkiej, łatwej i przyjemnej", Irena Santor wykonała piosenkę, również znaną nam z „Muzyki", Helena Majdaniec wystąpiła z utworem, który widzieliśmy onego czasu podczas telewizyjnego koncertu rozrywkowego, podobnie popisała się i Violetta Villas. I stąd pytanie pod adresem telewizji: czy naprawdę nie można układać programu, w którym obeszło by się bez repetycji? Telewidzowie mają dobrą pamięć, i pomimo całej swojej sympatii dla piosenkarzy, woleliby usłyszeć prawdziwie nowe „nagrania".

KOWALSKI

JAN HUSZCZA

STARA PIJALNIA

Zewsząd las ją otoczył
Wkrótce chmiele wtargną do wnętrza
którego nie pilnują drzwi
Mech zasklepia szpary w podłodze

Pijalnia zaludnia się w nocy
Z drabiny powietrza
spod korzeni głęboko w ziemi uwikłanych
ze starych ilustracji
z ksiąg metrykalnych różnych parafii
przychodzą

Galeryjkę pod kopułą zajmuje orkiestra
walce napełniają pijalnię
meloniki sfruwają na widok znajomych pań
czernione wąsiki zalotność porusza

Przyjechali do wód
aby przekonać się że pomagają

Odgarniają woalki
wsuwają dziobki fajansowych dzbanuszków
między białe ząbki
bohaterki obrazów Podkowińskiego

Ku nim wąsiki
ku nim meloniki
ku nim panowie w obcisłych spodniach
kraciastych
w nadziei że się uda
spod kapeluszy wyzwolić ciężkie włosy
upięte w kok
z długich sukni wywikłać nogi w czarnych
pończochach
białe piersi wypuścić z więzienia sznurówek

Aż czterech uprzejmością gorliwą otacza
brzydulę
znaną z wielkiego posagu
Będzie go przeklinała

Powłóczyste spojrzenia
biegną ku blondynowi
stojącemu przy palmie
jeszcze mu daleko do ułańskiej śmierci

Walce napełniły pijalnię
Da się raz jeszcze wszystko powtórzyć

Pełno okrągłych zdań
ze słów ładniejszych niż nasze
notowanych na welinowym papierze
melodyjnych jak walce
Da się raz jeszcze wszystko powtórzyć

Oni mniej widzieli
byli może bardziej błazeńscy
ale nie na tyle tragiczni
Częściej wierzyli

Walcami oddycha pijalnia
od lasu oddziela ją łąka
pszczoły nurkują w kwiatach
Da się raz jeszcze wszystko powtórzyć
po to są wody
kąpiele i picie z dzbanków

Za dnia
przez gęste ożyny
ścieżka prowadzi obok pijalni
wiatr zagląda do niej przez wybite szyby
deski w ścianach próchnieją
nikt nie domyśla się nocy

W nowej pijalni pijemy wody
dwa razy dziennie
Przekonujemy się że pomagają
Opuszczamy uzdrowisko na jakiś czas młodsi

Żeby raz jeszcze dało się wszystko powtórzyć

Krynica, luty 1963

Dalszy ciąg ze str. 1

się wątpliwości. Sławny psychiatra, Janet, określa psychasteników mianem pedantów i skrupulantów, a ich przeżyciach za najbardziej charakterystyczne uważa uczucie braku czegoś. W skargach tych chorych lekarze spotykają się z chęcią jak najdokładniejszego określenia swoich dolegliwości, do przesadnego precyzowania swych myśli, co w rezultacie prowadzi ich do szukania coraz to innych określeń, do niemożności wyboru właściwego słowa, do wahań i zastanawiania się.

NERWICA Z NATRĘCTWAMI

Chora W. cierpi na obawy zbrudzenia i przeżywa coś w rodzaju natręctwa czystości. Zanim zabierze się do jakiejkolwiek pracy, musi się upewnić, że wszystko, z czym się styka, jest czyste. Zaczyna więc od dokładnego umycia rąk, następnie pierze ścierkę, którą ma zmywać naczynia kuchenne, potem długo szoruje miskę, w której naczynia ma myć i spłukiwać, w tym czasie kilkakrotnie myje ręce i w rezultacie umycie kilku naczyń kuchennych trwa długie godziny. Najgorzej, gdy zabiera się do prania i sprzątania. Pewnego razu, gdy miała wyprać bieliznę dziecka, zaczęła od gruntownego sprzątania kuchni — a gdy po całodziennej pracy mąż wrócił do domu, zastał straszliwy nieporządek, nie wypraną bieliznę i zrozpaczoną żonę, która już zupełnie nie mogła opanować nieporządku. Nie mogąc sobie z chorą inaczej poradzić, mąż przywiązał ją do krzesła i skończył za nią całą pracę.

Podobne natrętne czynności obserwujemy u chorych z lękiem przed zakażeniem (bakteriofobia). Chorzy tacy noszą rękawiczki, unikają zetknięcia się z otaczającymi przedmiotami, nie podają rąk, opalają nad gazem pieczywo przyniesione z piekarni, gotują kilkakrotnie pożywienie...

SKĄD SIĘ BIORĄ NERWICE?

To tylko niektóre z nerwic trapiących ludzi. Są one częste w różnych środowiskach, u kobiet i mężczyzn w różnym wieku. Ale przecież doświadczenie lekarzy specjalistów pozwala już na pewne uogólnienia, dane zaś, których dostarczyła nam dr Helena Siuchnińska, dyrektor Wojewódzkiej Poradni Zdrowia Psychicznego pozwalają również określić wśród nerwic miejsce łódzkiego pacjenta.

Do poradni zgłosiło się w ub. r. 892 łodzian dorosłych i 370 dzieci, a w województwie — 5.267 dorosłych i 313 dzieci. U mężczyzn wzrost przypadków nerwicy notuje się w wieku od 40 do 60 lat, kobiety zaś cierpią na nie na ogół w wieku lat 20—30 oraz później — w okresie przekwitania.

Na podstawie ankiety przeprowadzonej wśród nerwicowców aż 42,5 proc. mężczyzn i 49 proc. kobiet zachorowało w okresie swej największej aktywności życiowej, a więc w okresie od 26 do 40 roku życia. Jeśli tak — jeśli nerwice wyniszczają siły ludzkie w okresie, w którym człowiek jest najbardziej czynny społecznie, a jego działalność najbardziej pożyteczna — to nerwice przestają być cierpieniem „prywatnym", stając się zjawiskiem o dużym znaczeniu społecznym.

Społeczeństwo cierpi więc w rezultacie wraz z samym nerwicowcem, zresztą społeczeństwo to tworzy również warunki... sprzyjające powstawaniu nerwic. W Łodzi w ostatnich latach najczęstszą przyczyną powstawania nerwic były sytuacje konfliktowe wywołane trudnościami mieszkaniowymi, alkoholizmem, ciężką pracą kobiet. Jeśli dodamy jeszcze niezgodne pożycie małżeńskie, przepracowanie, wrogość i złośliwość ze strony otoczenia oraz trudne warunki życia — otrzymamy najczęściej spotykany zespół źródeł i przyczyn.

A teraz zestawmy te przyczyny i płeć. U kobiet aż 35 proc. wszystkich zachorowań powoduje niezgodne pożycie małżeńskie (z tego zaś połowa — pożycie z mężem pijakiem), 33 proc. — zdrada małżeńska, 12 proc. — wyczerpanie praca ponad siły, reszta — zawód miłosny, wspólne mieszkanie z innymi rodzinami, śmierć drogiej osoby...). U mężczyzn — na czoło przyczyn i źródeł powstawania nerwic wysuwa się przepracowanie, konflikty z otoczeniem, niezgodne pożycie małżeńskie (zdrada i niezgodność charakterów) oraz wadliwe warunki pracy.

* * *

Wśród nerwic powodowanych trudnymi warunkami pracy osobno należy wspomnieć o trudnościach wynikających z niedostatecznego przygotowania chorego do życia. Fakty te występują już dziś z mniejszym nasileniem, ale jeszcze pięć — dziesięć lat temu — w Łodzi i w innych ośrodkach charakterystyczny był typ nerwicowca uwikłanego w sytuacje, które rodziły chorobę. Chodzi o wielu z tych, którzy objęli stanowiska z tzw. awansu społecznego (dzisiaj i dyrektor i naczelnik wydziału musi się już wykazać odpowiednim przygotowaniem i wykształceniem).

Często zadania i odpowiedzialność w pracy zawodowej przerastały tego rodzaju człowieka, dostawało mu się za większe i mniejsze uchybienia i błędy, przyjmował to poważnie, ale przecież w takim dyrektorze i kierowniku rodziło się poczucie krzywdy, utrwalała się sytuacja pełna konfliktów... Szybko się „zdzierał", a że nerwice stają się również przyczyną ciężkich schorzeń serca — nie dziwimy się żniwom, jakie zbierały klasyczne wypadki zawałów.

A zresztą nie tylko serce. Znane są liczne wypadki chorób żołądka i innych narządów wewnętrznych, doskonale wiemy co oznaczają słowa „wątroba mi się przewracała..." — wszystkie te cierpienia w konkretnych wypadkach i warunkach mogą być powodowane przez wewnętrzne konflikty, zmartwienia i lęki.

* * *

Na rozwój nerwic wielki wpływ mają warunki zewnętrzne. Nie tylko jednak te warunki, wśród których człowiek pracuje (np. skomplikowana, trudna w obsłudze maszyna), nie tylko kierownik czy dyrektor, który swym stosunkiem do podwładnych powoduje u wielu z nich — zwłaszcza wrażliwszych i mniej odpornych — stany załamania psychicznego, nerwice różnego rodzaju i stany konfliktowe. Chodzi o to, że źródłem wielu nerwic stał się szybki rozwój techniki, nowoczesna cywilizacja miejska.

I jeśli porozmawiacie ze specjalistami, powiedzą wam z pewnością, że o wiele zdrowiej jest mieszkać w małym, pozbawionym zgiełku wielkomiejskiego osiedlu czy miejscowości, niż w wielkim, huczącym mieście półmilionowym. Dlatego i w Łodzi spotykamy ostrzejsze wypadki nerwic, niż np. w Sieradzu, czy Uniejowie. Wielkie tempo życia codziennego utrudnia, czy nawet uniemożliwia człowiekowi odbudowę sił psychicznych, tak niezbędnych dla normalnej pracy całego układu nerwowego.

Nieprzypadkowo więc stworzyliśmy w ostatnich latach nową wielką modę na tzw. relaks, który jest niczym innym, jak mniej czy więcej rozpaczliwą samoobroną skołatanego człowieka przed nerwicami. I w Łodzi i w innych miastach sta-

ramy się już nawet przerywać w ciągu dnia pracę, gdyż okazało się, że zyski w zakresie np. wydajności pracy po kilkuminutowym nawet odpoczynku są większe niż wynosi produkcyjna wartość tych kilku minut.

* * *

Nerwice nie atakują jednakowo każdego człowieka pracy: stwierdzono, że znacznie lepszy grunt znajdują w psychice pracownika umysłowego niż robotnika, stwierdzono też, że wśród przemysłów łódzkich najwięcej zła powoduje praca w przemyśle włókien sztucznych, gdzie wyniszczająco na układ nerwowy działają trucizny wydzielające się z agregatów produkcyjnych. W tym przemyśle aż 25 proc. wszystkich godzin straconych dla produkcji, to godziny jakie zabierają zwolnienia lekarskie z powodu nerwic. Znane są wypadki ciężkich stanów nerwicowych wywołanych u ludzi pracujących w przemyśle chemicznym, przeprowadza się badania nad skutkami trującego działania dwusiarczku węgla, ołowiu itp.

Większą podatność na nerwice u pracowników umysłowych stwierdzono w Łodzi w czasie sympozjum na temat psychonerwic, które odbyło się w 1960 roku (na 97 chorych mężczyzn, pracujących — ujętych w ankiecie — było 52 pracowników umysłowych i 45 — fizycznych. Wśród kobiet pracujących umysłowo i chorych na nerwice było 28 pracownic służby zdrowia, 27 urzędniczek i 14 nauczycielek i wychowawczyń. Nieprzypadkowo więc mówimy, że... neurastenia jest choroba inteligencji. Ale — nie tylko neurastenia.

* * *

W gabinecie dr Siuchnińskiej odezwał się w pewnej chwili telefon, dzwoniła jedna z pacjentek. Dzwoni często — a te rozmowy potrzebne są obu kobietom: tamta — niedawno przywrócona normalnemu życiu i pracy rozmowa z lekarzem podtrzymuje na duchu, dodaje sił, lekarka natomiast — ma okazję śledzić proces umacniania się u pacjentki wiary w siebie.

Pacjentka usłyszała swego czasu słowa skierowane do jej matki przez lekarza: — Niech pani uważa na serce córki...

Jeszcze tego samego dnia córka, przewrażliwiona, młoda dziewczyna położyła się do łóżka na całe trzy miesiące. Skarżyła się na złe samopoczucie, opadnięcie z sił, marniała w oczach... A lęk, że niczemu nie podoła, sprawił, że przez wiele lat później młoda kobieta bała się jąć jakiejkolwiek pracy. I w tym stanie — kompletnego wyczerpania nerwicowego — trafiła do lekarza. Trzeba było wielu wysiłków, zabiegów, cierpliwości — by powoli schorowanej kobiecie mogła wrócić wiara we własne siły, trzeba było wydobyć ją z otchłani jakiegoś wewnętrznego zagubienia, przywrócić ją światu.

Teraz już pracuje, ale najdrobniejsze nieporozumienia w przedsiębiorstwie, obojętne spojrzenie koleżanek czy kierownika znów ją załamuje, wytraca z równowagi. Więc telefonuje do lekarza, z którym właśnie rozmawiam.

— Nerwicowcy — mówi lekarz — wymagają od nas świętej cierpliwości, nie tylko zrozumienia, bezgranicznego wprost oddania dla swych spraw psychicznych, a nie tylko pomocy. Gdy przyjmę tu dwóch chorych z nerwicami, czuję się tak wyczerpana i zmęczona, jakbym przyjęła pięciu innych, nie nerwicowców. Nerwicowiec musi powiedzieć wszystko, szuka potwierdzenia i sprawdza rzeczy istotne i nieważne, w czasie tych długich, wyczerpujących bardzo rozmów nie wolno jednak okazać pacjentowi najmniejszego choćby zniecierpliwienia. Nawet gdyby za drzwiami czekało i denerwowało się 30 następnych pacjentów, przy tym jednym nerwicowcu nie wolno spojrzeć na zegarek...

* * *

Stwierdzono też, że niektóre nerwice lekowe powstały na skutek nieopatrznych wypowiedzi chirurgów przed lub po operacji. Niektóre pacjentki skarżyły się w Klinice Psychiatrycznej w Łodzi na niestosowne dowcipy lekarzy różnych specjalności. Jak wynika z materiałów wspomnianego sympozjum psychonerwicowego odbytego w Łodzi — „często przyczyną powstawania nerwic są... obchody lekarskie, w których bierze udział wiele osób, z dyskusjami na temat chorych, informacjami o ich stanie, z gestami i mimiką, wyrażającymi rezygnację lub zwątpienie. Nie ratuje tu sytuacji operowanie łaciną lub umownymi skrótami...".

Ale są i inne źródła nerwic. Na przykład... czytanie książek i artykułów o dusznicy bolesnej, chorobie nadciśnieniowej, zawałach mięśnia sercowego, czy też o rakotwórczym działaniu witaminy B 12. Stwierdzili to specjaliści z kliniki w Gdańsku.

* * *

James Mc Cartney z Nowego Jorku ocenił tak sytuację w świecie, na którym żyjemy: „Im większe są zmiany społeczne i im szybciej do tych zmian dochodzi, tym większy jest wzrost zachorowalności na nerwice".

Zwariowane tempo życia amerykańskiego doprowadziło do tego, że w USA 80 proc. ludności to nerwicowcy. W naszym kraju tempo życia nie jest jeszcze tak zwariowane, ale już dziś przecież obserwujemy wiele ujemnych skutków nowoczesnej cywilizacji miejskiej, nowej techniki, skomplikowanego splotu zjawisk, w których jakże łatwo jest zagubić się człowiekowi. Ale czy sytuacja jest beznadziejna?

— Najważniejsze — mówił mi lekarz-specjalista — to higiena psychiczna. Jak najszybciej powinniśmy zerwać z szablonem wypoczywania — tylko raz w roku w czasie urlopu. Starajmy się o odprężenie i w ciągu dnia, zmniejszajmy napięcia, w których tkwimy i które zmuszają nasz system nerwowy do wyniszczającej pracy bez wytchnienia. A poza tym — gdy stwierdzamy choćby minimalne odchylenie od normy, stan lęku, bezsenność, czy inne objawy dysharmonii w funkcjonowaniu tego co nazywamy całością psychofizyczna — zwróćmy się do lekarza-specjalisty. By konflikty się nie pogłębiały, by nie narastało cierpienie...

FELIKS BABOL

UWAGA, NERWICE

ZBIGNIEW NIENACKI

DIALEKTYKA PRAWDY

Kto potrafi odnaleźć granice między kłamstwem a prawdą? — pyta w „Dzikiej kaczce" doktor Relling — Czy kłamstwo nie bywa niekiedy prawdą, a prawda nie jest najokropniejszym kłamstwem?

„Dzika kaczka" Ibsena — to dla mnie wielki utwór sceniczny o dialektyce prawdy i kłamstwa. To wspaniały utwór o obsesji poszukiwania prawdy, która okazuje się okrutną, bo taką zazwyczaj ona bywa i dlatego większość ludzi woli żyć w kłamstwie. „Dzika kaczka" to utwór wymierzony przeciw opartemu na kłamstwie ideałowi życia rodzinnego wielkiego mieszczaństwa, gdzie u podstaw tak zwanych „więzów rodzinnych" leżała tylko wspólnota interesów i pieniędzy. Wychowany w takiej właśnie pełnej zakłamania rodzinie mieszczańskiej, Gregers, szuka prawdy, bo wydaje mu się, że ona daje szczęście. Lecz prawda, którą Gregers aplikuje rodzinie Hjalmara — jest tylko nieszczęściem. Ujawniła się bowiem dialektyka prawdy; która nie jest tym samym dla każdego. „Twoja prawda, może być kłamstwem dla innych" — zdaje się mówić nam Ibsen z odległości niemal wieku. I mimo czasu, który między nami upłynął, jest Ibsen pisarzem współczesnym, albowiem każde nowe pokolenie z nową siłą, równą Gregersowi, szuka swej własnej prawdy, aby się przekonać o jej okrutnej dialektyce.

„Dzika kaczka" — to miejscami utwór irytujący. Ten człowiek sprawiedliwy i obsesyjnie poszukujący prawdy, Gregers, wydaje się nam niekiedy tylko szkodliwym maniakiem. Wydaje się nam tym bardziej szkodliwy, im bardziej uparcie chce innych uszczęśliwić obnażaniem przed nimi fałszu i prawdy. Jesteśmy konformistami, to połowa XX wieku uczyniła nas takimi, wierzymy w kompromis między dobrem i złem, między prawdą i kłamstwem. Kompromis — to wyraz instynktu samozachowawczego narodów współczesnego świata, któremu zagrozi zagłada, jeśli władzę posiądą ludzie, którzy nie uznają kompromisów. Kompromis — to ideał współczesnego człowieka. Kompromis w życiu politycznym: jeszcze jedna konferencja przy okrągłym stole, jeszcze jedno porozumienie, zamiast potrząsania bronią. Kompromis w życiu prywatnym: rozwód zamiast piekła kłamstwa i obłudy. Być może przez ów ideał kompromisu i konformizmu jesteśmy mądrzejsi i bardziej bliscy prawdy niż pokolenie Ibsena. Ale właśnie postawa Gregersa musi nas irytować, musi wydawać się nam szkodliwa. I chyba jest szkodliwa, to właśnie a nie co innego chciał nam powiedzieć Ibsen poprzez tragiczną śmierć córki Giny i Hjalmara.

„Dzika kaczka" — to także utwór pouczający. Ostrzega on przed okrutną dialektyką prawdy i kłamstwa, ostrzega przed ludźmi, którzy nie uznają kompromisów, ostrzega przed szaleńcami, którzy wierzą że prawda ma tylko jedną stronę i może być tylko jedna: ich prawda. Żyjemy w społeczeństwie, które dopiero kształtuje swój własny ideał moralny, obok siebie żyją w tym społeczeństwie ludzie, na przykład wierzący i niewierzący, a więc opierający się na różnych etykach. Żądamy tolerancji dla ideału moralnego i jednych i drugich, boimy się narzucania swej prawdy jednym i drugim. Niech każdy szuka swojej własnej prawdy, ale niech nie narzuca jej innym. „To co dla jednych jest lekarstwem, dla drugich może okazać się trucizną" — uczy nas współczesna medycyna. Nie wolno brać mocnych leków bez porady lekarza, a tym bardziej leczyć się prawdą lub kłamstwem.

„Dzika kaczka" Ibsena w Teatrze Nowym — to utwór świetnie wyreżyserowany przez Aleksandra Strokowskiego, i świetnie zagrany przez aktorów. Reżyser spojrzał na dramat Ibsena oczami współczesnego człowieka, dostrzegł w „Dzikiej kaczce", warstwy komediowe, satyryczne, nawet groteskowe. To bardzo dobrze, wzbogacił przez to spektakl, który w przeciwnym razie byłby chyba nie do zniesienia. Świetną sylwetkę Gregersa-poszukiwacza prawdy stworzył Mieczysław Voit. Jego Gregers był bardzo przekonywający, wierzyło się, że motorem jego działania nie jest obsesja szaleńca, ale szczere przekonanie, iż prawda uszczęśliwi rodzinę Hjalmara. Ten zaś — Hjalmar — był i wielki i mały, groteskowy i tragiczny, współczuło mu się i nienawidziło się go, Hjalmar — to trudna rola. Eugeniusz Kamiński nadał jej ton ludzki, jego Hjalmar jest małym człowiekiem żyjącym w świecie złudzeń i fałszu, lecz przecież ten fałsz i te złudzenia uszczęśliwiają całą jego rodzinę. Ludzie mali i słabi muszą mieć swój świat złudzeń — tę prawdę wyraża aktorstwo Eugeniusza Kamińskiego. I prawa do złudzeń nie wolno im odbierać.

Doskonale narysowała sylwetkę Giny — Wiesława Mazurkiewicz. Była bardzo kobieca, z owym kobiecym instynktem, który potrafi przeczuć zbliżające się nieszczęście, gdy pozostaje ono jeszcze daleko. Ona jedna — Gina — zlękła się przybycia Gregersa. Wiesława Mazurkiewicz stworzyła typ mądrej kobiety, która czyni mężczyznę szczęśliwym, świadomie pozwalając mu żyć w świecie złudzeń, w przekonaniu o swej wyjątkowości i wielkości.

Jadwinia — powinna być stworzeniem uroczym, młodym, naiwnym i pełnym miłości do ojca. Taką właśnie była Wanda Chwiałkowska. Werle — Adam Daniewicz — nie stał się „złym duchem swego syna". Daniewicz ukazał ludzką i bliską nam stronę starego Werle, który tak samo jak każdy ma prawo do życia i do własnego szczęścia, choć syn dostrzega w nim tylko zło i tylko go potępia. Wzruszający i tragiczny zarazem był Ekdal w wykonaniu Józefa Pilarskiego. Ciekawą sylwetkę dr Rellinga zaprezentował Zygmunt Malawski ze swą terapią kłamstwa. Podobała mi się także Maria Białobrzeska jako Sorbi i Marian Stanisławski w roli „demonicznego" Molvika.

„Dzika kaczka" Henryka Ibsena. Warsztat reżyserski A. Strokowskiego pod kierunkiem prof. B. Korzeniewskiego. Scenografia: Jan Krzewicki. Mała Sala PIN.

PRACOWNICY HANDLU czy KULTURY?

Dalszy ciąg ze str. 1

naukowe. Przeciętna sprzedaży na rok jednego mieszkańca w łódzkim „Domu Książki" odpowiada mniej więcej przeciętnej krajowej. Ale roczna sprzedaż na terenie województwa wskazuje, że wysiłek księgarstwa trzeba znacznie wzmóc.

Nie można jednak obarczać „Domu Książki" zarzutem braku ruchliwości. Organizuje się przecież kiermasze, loterie książkowe, sprzedaż wysyłkowa. Niedawno jeździł po województwie łódzkim specjalny samochód sprzedający książki tzw. bibliobus. Ale niestety, ta pożyteczna przecież forma docierania z książką do odległych zakamarków województwa upadła.

Do czytelnika wiejskiego „Dom Książki" dociera jedynie za pośrednictwem Gminnych Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". W księgarniach powiatowych są specjalni instruktorzy, którzy starają się o zaopatrzenie GS w książki, którzy przede wszystkim walczą o to, żeby tam prócz o wódce, nafcie i stu innych rzeczach pamiętano także o książkach.

* * *

Cóż ważniejszego powiedzieć można o ludziach pracujących w księgarstwie, prócz tego, że książka przesłania im zazwyczaj cały świat? Większość z nich, i tych za ladą i tych pracujących w zarządzie „Domu Książki", tkwi w księgarstwie już wiele lat, wielu z nich było współorganizatorami przedsiębiorstwa, pamiętają niejedną jego reorganizację.

Siedzą w księgarstwie nieraz ... przekór wszystkiemu. Na przekór interesowi własnemu i swej rodziny. Najładniejsze łódzkie księgarnie, poczynając nieraz od lokalu, a kończąc na najdrobniejszym szczególe, to rezultat wysiłków i wkładu pracy ich kierowników i personelu. Nie wierzycie? Kierownik Księgarni Powszechnej przy ul. Piotrkowskiej 147 p. Kasprzyk jeździł na Śląsk po szyny na budowę półpiętra, kierownik Księgarni Akademickiej, p. Kozak dosłownie zdobył dla niej lokal po restauracji przy ul. Narutowicza 50, a potem pilnował każdego szczegółu remontu, kierownik księgarni przy ul. Piotrkowskiej 105, p. Kosel, bez przeprowadzenia kapitalnego remontu potrafił zupełnie zmienić wygląd swej placówki. Niech te przykłady mówią również o innych.

Zarobki w księgarstwie, jeśli weźmiemy pod uwagę wymagania stawiane pracownikom, kształtują się zupełnie przeciętnie, a jeśli chodzi o niższe szczeble (istnieje weryfikowana hierarchia: młodszy i starszy sprzedawca, księgarz) poniżej przeciętnej. Uniemożliwia to przyciąganie zdolnych jednostek do księgarstwa. Zawód księgarski przestał być atrakcyjny dla młodzieży, do technikum księgarskiego idą tylko ci, którzy odpadli przy egzaminach do innych szkół. Dla kilku placówek powiatowych od lat nie można znaleźć odpowiednich kierowników.

Bo czegóż to nie żąda się od kierownika prowincjonalnej księgarenki prócz sprzedaży zza lady książek i artykułów papierniczych! (W dni targowe sprzedaż tych ostatnich absorbuje bez reszty cały personel!). Otóż żąda się nie tylko reklamowania wydawnictw i poszczególnych tytułów książek. Żąda się również systematycznej współpracy z bibliotekami i innymi specjalnymi odbiorcami, stałego kontaktu z miejscowym Komitetem Partyjnym, zaopatrzenia wszystkich szkół w powiecie w podręczniki, uaktywniania sprzedaży książek w Gminnych Spółdzielniach, w spółdzielniach uczniowskich, organizowania sieci kolporterów zakładowych, właściwego zaopatrywania tych wszystkich odbiorców i rozliczania ich, urządzania kiermaszy, specjalnej sprzedaży losów loterii książkowej, a wreszcie stałego dokształcania się (np. maturzyści obowiązani są kończyć dodatkowo 2-letni kurs zaocznego technikum księgarskiego). Jeśli do tego dodamy morze papierkowej roboty, odpisywanie na różne polecenia poszczególnych działów zarządu przedsiębiorstwa (i wykonywanie ich!), dysponendy tytułowe, zwroty, denerwujące remanenty (brak jakichkolwiek oficjalnie uznanych norm ubytków naturalnych) — to naprawdę trzeba tylko podziwiać tych prowincjonalnych księgarzy. Szczególnie tam, gdzie cały personel łącznie z kierownikiem liczy 2—3 osoby.

Trudno nieraz odpowiedzieć na pytanie, kim są księgarze: handlowcami czy pracownikami kultury? Należą do Związku Zawodowego Pracowników Książki, Prasy, Radia i Telewizji. W r. 1957 zostało reaktywowane Stowarzyszenie Księgarzy Polskich, jego okręg łódzki liczy obecnie 240 członków. Zarząd Główny Stowarzyszenia wydaje miesięcznik „Księgarz". (Prócz tego w Centrali Księgarstwa, które zwie się też „Domem Książki", redagowany jest tygodnik „Praca Księgarska"). Ostatnio przy łódzkim SKP zorganizowano Klub Młodego Księgarza. Założenia jego poza sprawami zawodowymi idą głównie w kierunku rozrywkowym. (Niestety, świetlica „Domu Książki" przy ul. Piotrkowskiej 5 stale zajęta jest na różne kiermasze).

Nie sposób mówiąc o łódzkich księgarzach pominąć kilku nazwisk, które wybrane są tylko przykładowo. Żywą encyklopedią księgarstwa jest (piszący obecnie pamiętnik) dziś już rencista pan Tadeusz Męczyński. Pracujący w zarządzie przedsiębiorstwa pan Izaak Markiewicz rozpoczął pracę z książką w r. 1926. Pan Stanisław Antkowski, obsługujący klientów obecnie przy ul. Piotrkowskiej 105 rozpoczął pracę w łódzkim księgarstwie w r. 1919 w firmie Gebethner i Wolf. Niezmordowanie uśmiechnięty tkwi za ladą od r. 1938 pan Jan Gierańczyk, kierownik największej łódzkiej księgarni „Pegaz" przy ul. Piotrkowskiej 47. Pan Józef Brzeziński (Piotrkowska 293) rozpoczął pracę przed 35 laty w Gnieźnie. Pan Stanisław Sobczak („Światowid", Piotrkowska 86) przed 44 laty w Łodzi. Pan Ryszard Dynarzewski (Księgarnia Naukowa, Piotrkowska 102a) zetknął się z księgarstwem przed 25 laty w Warszawie. Również z Warszawy pochodzą popularni antykwariusze (Piotrkowska 133) pan Henryk Pakosiak (48 lat pracy księgarskiej!) oraz pan Jan Kaniewski (27 lat pracy).

Mówiąc o łódzkim księgarstwie trudno pominąć jeszcze dwa nazwiska, aczkolwiek reprezentują one dwie prywatne księgarnie. Ale sens istnienia antykwariatu „Słowo", prowadzonego przez księgarza i bibliofila pana Henryka Maszewskiego, uznaje nawet pan Pakosiak, kierownik „konkurencyjnego" antykwariatu „Domu Książki". A 77-letni właściciel Księgarni Łódzkiej Wydawniczej „Czytaj" (ul. Narutowicza 2), pan Kazimierz Pawlak, to cała historia. Cudem uniknął w więzieniu przy ul. Gdańskiej stryczka za działalność rewolucyjną w SDKPiL. Pamięta Port Artura, Irkuck, cara Mikołaja II. Pracę z książką rozpoczął w r. 1916 współorganizując okręg łódzki Towarzystwa Szerzenia Wiedzy Drukowanym Słowem.

Z księgarzy na terenie województwa wymienić trzeba przede wszystkim tych, o których mówią wyniki ich pracy. Pan Aleksander Lachman od samego początku prowadzi we wzorowy sposób księgarnię w Skierniewicach i jest naprawdę „książkowym" gospodarzem powiatu (uzyskał najlepsze w skali krajowej efekty w rozprowadzaniu książek na terenie wiejskim przez spółdzielnie uczniowskie). Pan Józef Szweryn w Sieradzu to równocześnie znany tam działacz polityczny i społeczny, który najlepiej rozbudował sieć księgarską w swoim powiecie. Pani Janina Litwin w Piotrkowie celuje w systematycznej akcji informacyjno - propagandowej o książce, w obsłudze klienta i dbałości o wnętrze księgarni. Pan Zdzisław Mikołajewski w Pabianicach mimo trudnych warunków lokalowych i bliskości Łodzi uzyskał największy wskaźnik „spożycia" książki na 1 mieszkańca.

Jednak tam, gdzie wykruszają się stare kadry, gdzie jak w Łasku, długoletni księgarz p. Leonard Bugajski przeszedł na rentę, latami nie można znaleźć następcy. Trwa prowizorka, która już drogo kosztowała, a która ostatnio ustabilizowała się w ten sposób, iż kierownikiem został tam jeden z łódzkich sprzedawców — i codziennie dojeżdża...

Perspektywy kadrowe nie rysują się różowo także na przyszłość. A przybędzie na pewno obsada 8 pawilonów i kilku placówek otrzymywanych w nowym budownictwie.

Lecz głównym problemem księgarstwa jest fatalne zaopatrzenie. Do rozpaczy doprowadzają księgarzy śmiesznie małe nakłady niektórych tytułów. A często chodzi o klasyków, o pozycje poszukiwane, o lektury. Pytają: dlaczego otrzymujemy tyle różnych książek, a tych, których nigdy nie powinno brakować, dostajemy tak mało?

Rzeczywiście. Spróbujcie kupić np. „Pana Tadeusza", „W pustyni i w puszczy" lub „Serce" Amicisa, czy „Zemstę" Fredry. Nie ma. A przecież pewne pozycje stale winny być w księgarniach. Pomocna dla jakiegoś zawodu dobra książka techniczna nie może znikać bez reszty po 2 tygodniach. Wszyscy muszą i powinni się dokształcać. Podręczniki i lektury są w zamkniętej (tak!) sprzedaży tylko dla szkół. Pieniądze zamiast na książki wydać łatwiej na kino, na wódkę...

Rokrocznie pewna duża liczba świeżo upieczonych techników, lekarzy i inżynierów kupuje meble, urządza się. Mogą kupić telewizor, radio — ale nie słownik, nie swoje vademecum zawodowe, nie atlas, nie encyklopedię. Nie mogą zakupić klasyków literatury — bo po prostu rzeczy tych chronicznie brakuje w księgarniach. Kogo winić przeciętny człowiek za ten stan rzeczy? Oczywiście księgarzy. Jakże często narażeni są oni na obraźliwe epitety. Słusznie więc pytają: — Czy na tym polega nasza polityka kulturalna?

Jakże ubogo wyglądają księgarnie przy innych sklepach. Cóż, MHD czy PSS przynoszą dużo większe zyski, nieporównanie więc więcej mogą wydawać na inwestycje i remonty. Czy wiecie, że cały łódzki „Dom Książki" w roku 1962 miał na unowocześnienie swej sieci w Łodzi tylko 38 tysięcy zł, za które poprawiono tylko nieco rozdzielnię kolporterską przy al. Kościuszki. A na unowocześnienie sieci na terenie województwa było 150 tysięcy zł, za co zakupiono jedynie urządzenie dla nowej księgarni w Radomsku.

Trzeba rokrocznie modernizować najmniej 6 księgarń, aby się nie cofać! Aby i w księgarstwie móc wprowadzać w jakimś stopniu formę sprzedaży bezladowej. Porównajcie z sąsiednimi lub pobliskimi salonami innych branż choćby takie księgarnie jak przy ul. Pabianickiej 212 w Łodzi, czy w Zgierzu przy placu Armii Czerwonej 4. Podobnych jest zresztą więcej. Z 43 istniejących poza Łodzią placówek księgarskich tylko 17 ma wystarczające warunki lokalowe.

A przecież książkę trzeba w jakiś sposób odbiorcy pokazać. Dużo pomagają informacje podane w radio czy prasie. Zjawia się natychmiast popyt na dane tytuły. Ale przecież i księgarnia musi w jakiś sposób (u nas niestety w „szklonyrh gablotach!) eksponować książki. Podczas, gdy księgarnia w „Domu Chłopa" w Warszawie eksponuje 600 tytułów, to księgarnia przy ul. Piotrkowskiej 105 w Łodzi ma miejsce tylko dla niecałej setki. A na prowincji nieraz te możliwości ograniczają się u nas do kilkunastu tytułów.

Księgarnia Techniczno-Ekonomiczna przy ul. Piotrkowskiej 45, zawalona jest bez reszty książkami. A gdzie się przeniesie, gdy zrobią w tym budynku podcienia? Mówi się tyle o postępie technicznym — ale czy znajdzie się dla niej nowy lokal? (W przyszłym Domu Technika będzie tylko kiosk), Księgarnia przy ul. Piotrkowskiej 11 dusi się. Dusi się personel, duszą się klienci. Od lat dojrzała sprawa powiększenia jej o sąsiedni sklep meblowy, ale od lat odwleka się ostateczne załatwienie.

Czy wiecie, że księgarnie nie mają na ogół maszyn do sumowania? Że w wielu nie ma maszyn do pisania? Że „Dom Książki" cierpi na brak lekkiego transportu?

Czy wiecie, że w księgarstwie nie ma normy dopuszczalnych ubytków, zależnych od obrotu? Każde manko powyżej 5.000 zł, niezależnie od długości okresu i osiągniętego obrotu, powinno iść więc do prokuratora. Więc kierownicy co większych księgarń, każdy remanent przypłacają chorobą serca. Ale chyba mimo wszystko — co jest pocieszające — księgarze lubią książki i cenią ludzi, którzy książki kupują.

ANTONI WOJCIECHOWSKI

Otworzony w lipcu 1962 r. pawilon „Domu Książki" w Sulejowie

TADEUSZ WIĄCEK

HISTORIA JEDNEGO PIŁKARZA?

Piłka nożna jest u nas najpopularniejszą dziedziną sportu. Jeszcze cztery lata temu było zarejestrowanych w Polsce 145 251 piłkarzy. W chwili obecnej liczba ta kształtuje się w tych samych granicach. Na każdym wolnym placu młodzi chłopcy uganiają się za piłką. Wielu z nich marzy o sławie Szymkowiaka, Pohla czy Fabera. O tych najbardziej utalentowanych chłopców często martwią się kibice. Większość z nich zadaje sobie pytanie — czy z młodych talentów wyrosną dobrzy piłkarze? Na palcach zaś można policzyć tych, którzy zastanawiają się nie tylko nad piłkarską przyszłością utalentowanych juniorów. Ci, którym leży na sercu przyszłość (nie piłkarska) młodych piłkarzy, z pewnością zainteresują się dziejami kariery zawodnika, który jeszcze przed kilku laty był znany w całej (oczywiście sportowej) Polsce. Wydaje mi się, że historia Sławka Sarny nie jest wyjątkiem w polskim „światku piłkarskim". Właśnie dlatego przytaczam ją tutaj; może pozwoli ona otworzyć oczy niektórym młodym piłkarzom i ich rodzicom na „politykę piłkarską" w Polsce.

Latem 1956 roku rodzice Sławka byli dumni ze swego syna. Na swój wiek wysoki, dobrze zbudowany, zdradzał już wybitne zdolności sportowe, a poza tym uzyskał bez trudu promocję do klasy dziesiątej w XVIII LO. Szesnastoletni junior zwracał już wtedy uwagę trenerów ŁKS swoją postawą na boisku. Górujący nad swymi kolegami warunkami fizycznymi i świetnym opanowaniem piłki, zaczął być brany pod uwagę przy montowaniu kadry narodowej juniorów. W tym samym roku zdobywa pierwsze kółko olimpijskie. Ale Sławek nie ograniczał wówczas swych zainteresowań sportowych tylko do piłki nożnej. Zimą 1956 r. należał do najlepiej zapowiadających się młodych łyżwiarzy (po zwycięstwie w biegu na 3000 m). W końcu roku zostaje powołany do kadry narodowej juniorów jako piłkarz.

1957

Sławek jest uczniem dziesiątej klasy. W styczniu „Głos Robotniczy" zamieszcza wywiad z trenerem reprezentacji juniorów, Górskim, który mówi: „Sarna, wychowanek łódzkiego ŁKS, liczy dopiero siedemnasty rok życia, a swą budową przypomina już atletę. Jest przy tym dobrze zaawansowany technicznie. Poza tym i to jest jego główną zaletą, zdradza duże skłonności do gry zespołowej. Dziwię się trochę, dlaczego ŁKS nie dał mu dotąd możliwości debiutu w ligowej drużynie". W tym czasie Sławek zaczyna wyraźnie zaniedbywać się w nauce. Zbliża się sezon piłkarski. Młodemu chłopcu marzy się koszulka z białym orłem na piersiach, wielkie mecze i atrakcyjne wyjazdy za granicę. W marcu marzenia zaczynają nabierać realnych kształtów. Piątego marca „Dziennik Łódzki" donosił: — „Tylko jeden łodzianin — pomocnik Sarna z ŁKS wyznaczony został do 16-osobowej kadry piłkarskiej juniorów, przygotowującej się do turnieju FIFA". W końcu maja, Sławek, wchodzący w skład reprezentacji juniorów, wyjeżdża pierwszy raz za granicę, do Turcji. Liczący niespełna siedemnaście lat Sławek, wybiega w koszulce reprezentanta Polski na boisko w Stambule. Po powrocie do kraju przygotowuje się gorączkowo do spotkania rewanżowego z juniorami Turcji. Mecz odbędzie się w Łodzi i Sławek chce zagrać jak najlepiej. 7 kwietnia młody piłkarz rozgrywa swój najlepszy mecz w reprezentacji juniorów. Dalekim strzałem zdobywa decydującą o wyniku bramkę. Nazajutrz „Głos Robotniczy" pisał: — „Szczególnie dla łodzian przyjemne jest to zwycięstwo, gdyż prowadzenie dla barw polskiej jedenastki zdobył wychowanek ŁKS, Sarna, który w oczach widowni urósł do roli bohatera".

Tymczasem w szkole „bohater" często otrzymuje noty niedostateczne. Ale nie czas myśleć o nauce, gdy za kilka dni atrakcyjna podróż do Hiszpanii na turniej FIFA (nieoficjalne mistrzostwa Europy juniorów). W końcu kwietnia Sławek jest już w Hiszpanii. Gra w Madrycie i Barcelonie, pozuje fotoreporterom i jest pod wrażeniem wielkiej przygody. Wraca do domu jak prawdziwy bohater (mimo że drużyna Polski nie zakwalifikowała się nawet do półfinałów). Otoczony rojem kolegów, którym imponuje popularność Sławka, coraz bardziej zapomina o szkole. Nie pomagają perswazje rodziców, chłopak nadal zawzięcie trenuje, chce utrzymać się w kadrze. 17 czerwca „Głos Robotniczy" pisał: — „W meczu niedzielnym w asyście paru doświadczonych zawodników tego klubu (mowa o ŁKS) powierzono obronę barw młodzieży, wśród której wybijał się nad przeciętność lewy pomocnik — Sarna". Za kilka dni Sławek „leży", nie otrzymał promocji do klasy jedenastej. Ale fakt ten nie interesuje klubu ani selekcjonerów PZPN. Sarna gra dalej i jest w kadrze. Nadchodzi wrzesień. Sławek będzie powtarzał rok, ale we wrześniu nie może chodzić do szkoły — kolejne tourneé zagraniczne. Wraz z reprezentacją juniorów przebywa teraz w NRD, Rumunii i Bułgarii. Gra w Halle i Bukareszcie, należąc zresztą do najlepszych w drużynie. Na początku października wraca do kraju. W kilka dni później wyjeżdża do Poznania na mecz z Austrią. Po tym spotkaniu trener Górski stwierdził: — „Najlepszą formacją była bezsprzecznie pomoc: Sarna, Grzegorczyk". Znowu sypią się pochwały pod adresem młodego piłkarza. Tymczasem częste opuszczanie lekcji powoduje nadal niedostateczne wyniki w nauce. W pierwszych dniach listopada siedemnastoletni chłopak debiutuje w I-ligowym ŁKS grając w meczu z Legią. Łódzki „Express" pisał: — „Debiut Sarny wypadł wprawdzie całkiem korzystnie, ale brak mu jeszcze ligowej rutyny". Jakoś nikt nie zwrócił wtedy uwagi, że „brak mu jeszcze" dostatecznych stopni w szkole. W końcu grudnia Sarna wyjeżdża na obóz kadry juniorów do Szklarskiej Poręby.

1958

W połowie stycznia Sławek wraca z obozu i próbuje nadrobić zaległości w nauce. Ale jest za późno, na półrocze „łapie" siedem dwój. Wtedy nareszcie „postępami" w nauce Sławka zaczyna zajmować się prasa sportowa, klub i władze naszego piłkarstwa. 21 lutego w artykule „Przeszkoda z dwój" zamieszczonym w „Głosie Robotniczym" czytamy: — „Trener Górski poinformowany telefonicznie przez ŁKS o zaniedbaniach Sarny w nauce postanowił zrezygnować z jego udziału w najbliższym meczu sparringowym". 5 marca w tym samym dzienniku publikowany jest artykuł ku przestrodze pt. „Strzał w „asa". Dowiadujemy się z niego, że w sprawie Sławka przyjechał do Łodzi specjalny wysłannik PZPN. Zorganizowano godzinne zebranie w klubie. Dalej czytamy: — „Ojciec Sarny powiedział, że nigdy nie zgodzi się, by jego syn porzucił szkołę dla ratowania paszportu zagranicznego (zbliża się FIFA w Luksemburgu, a Sławek jest przecież w kadrze juniorów). Wysłuchano również wybąkiwanych pod nosem usprawiedliwień juniora Sarny. Postanowiono: 1) do czasu poprawienia stopni Sarna nie będzie brany pod uwagę przy ustalaniu reprezentacyjnej kadry narodowej juniorów, a tym samym nie pojedzie do Luksemburga, 2) istnieje projekt eliminowania go z trzecioligowej drużyny ŁKS aż do chwili osiągnięcia wyraźnych postępów w nauce, 3) postanowiono na koszt klubu zaangażować Sarnie korepetytora". O Sławku piszą w „Przeglądzie Sportowym" z 11 marca w artykule „Sarna urlopowany z reprezentacji". Czytamy: — „Decyzję ŁKS w sprawie Sarny uważamy za całkowicie słuszną. Za lenistwo i brak chęci do nauki chłopiec musi ponieść słuszną karę". Obszerny artykuł publikuje na ten temat „Sportowiec" i jeszcze raz „Głos Robotniczy" („Sprawa nie tylko Sarny"). Po tej burzy prasowej Sławek nie wyjeżdża do Luksemburga. Zaczyna nadrabiać zaległości w nauce. Ale już w kwietniu wyjeżdża do Poznania z reprezentacją juniorów Łodzi. Potem gra w Ostrowcu. Jednakże ma teraz więcej czasu do nauki. W maju i czerwcu „wspaniale finiszuje" i w rezultacie otrzymuje promocję do klasy jedenastej. Chciałbym przy okazji zaznaczyć, że promocja ta nie była „naciągana". Nauczyciele zgodnie stwierdzili, że Sławek jest wyjątkowo zdolnym uczniem i po solidnym odrobieniu zaległości zupełnie słusznie został promowany. Już 29 czerwca z powrotem gra w reprezentacji juniorów, tym razem w Białymstoku z NRD. Jest nawet kapitanem drużyny reprezentacyjnej. Jesienią ligowa drużyna ŁKS zdobywa mistrzostwo Polski (ej, łza się w oku kręci!), a Sławek gra w trzecioligowych rezerwach. Z nauką znowu nie jest najlepiej. Ale tym razem nie przejmuje się tym ani klub ani PZPN. Sarna — junior już się skończył, a kogo u nas obchodzi nauka Sarny — seniora? (przypominam, że Sławek miał wówczas skończone 18 lat). ŁKS przygotowuje Sławka do przyszłorocznych występów w drużynie pierwszoligowej.

1959

Znowu sypią się dwóje, Sławek ma jednak poważniejsze sprawy na głowie. W tym roku będzie grał w ekstraklasie. Jako najmłodszy w całej drużynie dokłada starań, by jego gra była produktywną dla zespołu. 27 kwietnia łódzki „Express" pisał czerwonymi literami — „Celny strzał Sarny ratuje honor mistrza Polski". Znowu superlatywy o jego grze. Prasę interesuje już tylko Sarna — piłkarz, a nie Sarna-uczeń. W szkole Sławek ma poważne trudności w dopuszczeniu do matury. Tymczasem 4 maja (a więc za tydzień) ten sam „Express" konkluduje: — „Sarna, który tak ładnie zagrał to nas w ogóle nie będzie, rozejdziemy się na meliny i niech szukają. Oni to wiedzą i dlatego postanowili posłużyć się prowokacją, to wypróbowana broń faszystów. Przypomnijcie sobie podpalenie Reichstagu...

— Ciekawe — zauważył Wołga — ale my tu nic mamy w pobliżu Reichstagu, określ wyraźnie swoje stanowisko.

— Proszę bardzo. Chcą, żebyśmy ruszyli się z całym majdanem w środę, z wozami, kuchniami, namiotami. A oni obsadzą dużą przestrzeń, mają dobre środki łączności, w końcu dopadną nas gdzieś i dostaniemy lanie, w marszu z tym całym bajcem trudno walczyć, a łatwo o panikę. Sfingowali na poczekaniu jakiś urojony konflikt Żbika Wielkiego z trzema pijakami, belfry niby to uciekają, boją się, chorują na uczciwość i ostrzegają nas, a w gruncie rzeczy piją i grają w karty. Czy nie jest tak, towarzysze? Żbik Wielki to duży cwaniak, wie dobrze, że doły akowskie mogą nam sprzyjać, poinformują nas i tak się stało, w walce politycznej tak już jest, nie tylko my się uczymy, oni też.

Kukułka replikował:

— Wiadomość jest prawdziwa. Profesorów uratował plutonowy Kalina, on tam prowadzi wywiad akowski, poważny człowiek. Ledwie wyszli wpadła żandarmeria Żbika Wielkiego na koniach. Przewrócili pałac do góry nogami. Dwóch Wilczków dostało baty, nie chcieli powiedzieć, gdzie uciekli pro-

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Jest okupacja, rok 1943. Dwaj przyjaciele uciekają z rodzinnego miasta. Grozi im bowiem aresztowanie, jak zresztą wszystkim uczestnikom polskiego ruchu oporu przeciwko faszyzmowi. Jednego z bohaterów, Justyna, czytelnicy znają już. Wiadomo, że mieszka w głębi lasów, w opuszczałym dworze. Uczy tam „potomków starego rodu", romansuje, zaczyna bywać w okolicznych dworach, zdobywa broń i aparat radiowy, zyskuje nowych przyjaciół, aż wreszcie... jednak nie uprzedzajmy wypadków. Cierpliwy czytelnik pozna niebawem perypetie Justyna i — być może — da się przekonać, że nie należy życia brać tak jak ono leci, trzeba wybierać, nieustannie wartościować, trzeba samemu tworzyć własne życie. Czy Justyn słusznie wybiera, czy nie pobłądzi? Czy uda mu się rozwiązać konflikty, które sam spowodował?

Mechaniczna kukułka sześć razy wyjrzała z zegara, kiedy zasiedli do kolacji. Żona leśniczego nie chciała początkowo słyszeć o pieniądzach. Dziczyzny nie brakowało w domu, półki w spiżarni uginały się pod słoikami pełnymi marynowanych grzybów. Las nie dostarczał jednak wódki, pani Helena pozwoliła się w końcu o tym przekonać. Tak więc „góral", w sumie pięć set złotych, zarobione przez Justyna, wygrane przez Marka, za łaskawym przyzwoleniem Konrada, powędrowało do schowka gospodarnej Heleny, na stole pojawiły się flaszki śliwowicy i wina domowej roboty.

Mistyczna śliwa, dziki, tajemniczy głóg! Czy znasz Justynku, mowę kwiatów?

— Bądź łaskaw zaznajomić mnie z zagadnieniem. Od czego zaczniemy? Może na odwyrtkę, od wina, co? — Justyn schwycił flaszkę.

Marek zauważył od niechcenia.

— Nie wszystko co ludzie wymyślili jest złe? Najpierw się je, potem pije i je, a potem tylko pije przede wszystkim wódkę, wino tylko z rozpaczy. Rzuć we mnie kawałkiem tego rogacza! Tyzenhauz, opowiadaj o kwiatach!

Konrad, dopuszczony do głosu na czas nieograniczony, rozpoczął wykład.

— U nas, na Litwie, częstośmy się posługiwali mową kwiatów w stosunkach z paniami. Gdyby ci, Justynku, przysłała Madam miętę, to znak, że jest cnotliwa. Sytuacja przykra, wyjście z pozoru jeszcze gorsze. Po miecie otrzymujesz zazwyczaj kwiat lipy, co znaczy, że dama uznaje tylko miłość małżeńską. Ale nie trzeba się zaraz żenić. Prawdziwy dżentelmen wręcza damie gałązkę białej akacji, która mówi ni mniej, ni więcej: kocham tylko platonicznie. Kobieta zgodzić się na coś podobnego nie może i odczepia się, albo ulega. Dobre, co?

— Owszem — zgodził się Justyn — zupełnie dobre, tylko skąd braliście tyle kwiatów?

— Zdrowie! Całkiem znośna jest ta śliwowica, chociaż u nas podawano znaczne lepszą. Nasz ogród, Justynku, porównywano do mitycznych ogrodów Semiramidy, nigdy nam roślinek nie brakowało, a zresztą w zabawie brały udział także badyle pospolite. Twoja, na przykład, roślinka to mak, oznacza lenistwo, moja — bluszcz tyle co wierność. Marek powinien spacerować z dużą gałęzią sosny w ręce, sosna symbolizuje pijaństwo.

— Zostanę anarchistą po wojnie — zadecydował Marek — mam dość tego niewolnictwa. Justyn będzie czekał na Madam, jest niewolnikiem miłości, dodajmy nawiasem — bardzo nudnej miłości. Ty, Konradzie, boisz się śmierci twojego świata, wracasz każdego dnia na Litwę, nie jesteś w stanie wyobrazić sobie innego życia, co gorsza, ty nie chcesz sobie wyobrazić, zamknęli cię w konwencji staroszlacheckiej, zakorkowali, nosa poza nią nie wyściubisz, nie wolniku! A my trzej? Co my tu robimy? My czekamy na łącznika, na rozkaz pana majora, będziemy uczyć czego każą, albo strzelać na rozkaz plutonowego z Garwolina! Bęc, panowie, za wolność, której nie było, nie ma i nie będzie!

* * *

— Po jaką cholerę wysłaliśmy Dęba?

Kulawy nie odpowiadał, być może nie chciał powiększać zdenerwowania Wołgi. Plan akcji przemyśleli w trójkę, rozważyli wszystkie możliwości, czyżby teraz Wołga znalazł jakąś niebezpieczną lukę w planie? Rychło w czas!

Ostrzeżenie nadeszło w niedzielę. Wiadomość o wspólnym ataku Żbika Wielkiego i ostachowskiej żandarmerii na obóz Wołgi, przywiózł Kukułka. Kulawy węszył początkowo jakiś podstęp. Od kogo uzyskał Kukułka tak rewelacyjne wiadomości? Informatorzy wydawali mu się bardzo podejrzani.

— To wszystko jest guzik prawda, towarzysze! Przede wszystkim, kto nas ostrzega? Trzech pijanych profesorów nas ostrzega. Każdy z nich powiązany jest interesami z największym obszarnikiem w powiecie Wilczkiem, a jeden prowadził wykłady dla faszystów, podobno pomyłkowo, szukał nas a trafił do nich. Przecież to jest typowa prowokacja!

— Pieprzysz! — Dąb rozłożył ręce — wytłumacz nam magistrze, po cóż im prowokacja, co to ma za sens?

— Zaraz po wojnie trzeba będzie wysłać Deba na jakiś kurs, żeby się dialektyki nauczył. Chcą nas dopaść, bo im przeszkadzamy, ale nie wiedzą dokładnie gdzie jesteśmy, jak zechce-

debiutował w pierwszej drużynie zamiast piąć się systematycznie w górę obniża swe loty. Wczoraj był nie tylko wolny, ale popełnił szereg elementarnych błędów". Był to okres kiedy Sławek chciał „piąć się w górę", ale w szkole. Niestety, obok zajęć szkolnych ma przecież w tym czasie trening, mecz, sparring, wyjazd, mecz, trening, itd. Nic dziwnego więc, że w rezultacie nie zostaje dopuszczony do matury. Klub nie zwraca na to uwagi, klubowi potrzebny jest zawodnik, a nie człowiek z przynajmniej średnim wykształceniem. W czerwcu Sławek wraz z drużyną ŁKS wyjeżdża na tourneé do ZSRR. „Głos Robotniczy" donosił w tytule „Sarna najlepszym strzelcem „Szachtiora", a dalej dowiedzieliśmy się, że „bramkę dla „Szachtiora" zdobył klasycznym strzałem samobójczym pod poprzeczkę Sarna". Minęły wakacje i Sławek znowu rozpoczął naukę w jedenastej klasie. Ale jeszcze we wrześniu wyjeżdża z drużyną ŁKS do Luksemburga (przed rokiem nie mógł tam jechać jako junior z powodu złych ocen w szkole, teraz jednak już nie jest juniorem). Po powrocie gra do końca sezonu w pierwszej lidze. Z nauką znowu jest nie najlepiej. Zimą uczy się coraz więcej, może wreszcie skończy szkołę?

1960

Nauka, nauka, nauka. Sławek długie zimowe wieczory przesiaduje nad książką. 16 marca dowiadujemy się z „Expressu", że „Sarna robi maturę", a dalej czytamy: — „Sarna nie włącza się jeszcze całkowicie w orbitę piłkarską, ponieważ na pierwszym miejscu stawia naukę. Brawo! Życzymy Sarnie aby zdał pomyślnie maturę, a potem korzystnie bronił barw ŁKS". Tymczasem już za cztery dni. Sławek gra w Gdańsku z tamtejszą Lechią. Znowu dużo czasu poświęca treningowi. 15 kwietnia ten sam „Express" pisał: — „Z uwagą śledziliśmy występ Sarny. Dość długa przerwa w systematycznym szkoleniu pozostawiła bez wątpienia ślady (brak szybkości), ale ogólnie zawodnik ten mógł się podobać". Za to coraz mniej podobała się postawa Sławka w szkole. W tym samym miesiącu rezygnuje z kontynuowania nauki. Gra w ekstraklasie. Znów trening, sparring, mecz etc. Również i tym razem klub nie zainteresował się Sarną-człowiekiem, było nie było „swoim wychowankiem" (co na każdym kroku podkreślał). Rozpoczął się nowy rok szkolny, ale nie dla Sławka. Dla niego zaczęła się jesienna runda spotkań pierwszoligowych. Nie rozpoczął nauki, nie pracował, został piłkarzem. Klub stawiał mu jednostronne wymagania — masz dobrze grać. I Sławek grał. Będąc na utrzymaniu ŁKS do 31 października gra w ligowej drużynie. Późną jesienią wstępuje do służby wojskowej. Jako dobry piłkarz trafia do Wrocławia, gdzie w przyszłym sezonie będzie reprezentował barwy II-ligowego „Śląska".

1961—62—63

Do przysięgi służba wojskowa miała przebieg normalny. Potem Sławek został piłkarzem w wojskowym mundurze. „Śląsk" należy w tym czasie do najlepszych drużyn drugiej ligi. Pomocnik Sarna jest jednym z wyróżniających się zawodników tego zespołu. Prasa wrocławska zasypuje komplementami młodego zawodnika. Po sezonie 1961 roku otrzymuje piękny puchar przeznaczony dla najlepszego piłkarza WKS „Śląsk" (Wrocław). W sezonie 1962 roku jest kapitanem drużyny wojskowych. Po meczu z Garbarnią jeden z wrocławskich dzienników donosił: — „Pomocnik „Śląska" Sarna został ukarany dwumiesięczną dyskwalifikacją z zawieszeniem. Powodem kary była zbyt ostra gra Sarny na meczu z krakowską Garbarnią".

W lipcu 1962 r. Sławek wyjeżdża ze „Śląskiem" do Holandii. Służba w wojsku ma się ku końcowi. Zawodnicy ŁKS grający w barwach „Śląska" (Białas, Sarna, Gutowski) z meczu na mecz obniżają swój poziom. W rezultacie „Śląsk" oscyluje w dolnych rejonach tabeli II ligi. Prasa wrocławska bije na alarm. Sławek myśli już tylko o powrocie do macierzystego klubu. W jednym z ostatnich spotkań rozegranych w „Śląsku" Sławek gra zbyt ostro, fauluje i w rezultacie zostaje zdyskwalifikowany do 10 kwietnia 1963 r. Wreszcie koniec sezonu. Sarna skończył służbę wojskową, ale „Śląsk" pragnie zatrzymać go we Wrocławiu. Drużynie tej grozi co rok ubytek kilku zawodników. Proponują mu dogodne warunki, lecz Sławek woli wrócić do ŁKS. Późną jesienią jest już w Łodzi. Znowu sypią się propozycje tym razem z Opola i Szczecina. Jednakże Sławek pozostaje w ŁKS. Rodzice namawiają go, by poszedł do pracy. Ale przecież Sławek „pracuje" — jest piłkarzem. Klub wymaga od niego, by był dobrym zawodnikiem w zamian za co gwarantuje mu utrzymanie, włącznie z fikcyjną posadą w firmie opiekującej się klubem. W sumie jest to dość okrągła sumka. Dlatego Sławek nie pali się do pracy. Zresztą trudno jest pracować piłkarzowi. Przecież codziennie oprócz sobót, niedziel i poniedziałków odbywają się treningi i to w godzinach porannych.

Klub pełni funkcję wychowawczą do czasu pełnoletniości zawodnika. Jak pełni, to już inna sprawa. Ale dlaczego oddziaływanie wychowawcze klubów ogranicza się tylko do juniorów? Dlaczego kluby nie wpływają na zawodników, którzy nie mają kwalifikacji zawodowych (oczywiście pozapiłkarskich)? Dlaczego nie dba się o przygotowanie zawodników do życia (poza boiskiem?). Kiedy przestaniemy świecić złotówkami kilkunastoletnim chłopcom, których właśnie sport zrobi z czasem kalekami życiowymi bez wykształcenia i zawodu? Tu jeszcze raz pragnę przypomnieć, że daleki jestem od generalizowania, lecz chyba każdy przyzna mi rację, że prawie w każdym dużym klubie w Polsce jest co najmniej kilku piłkarzy takich jak Sławek. Wreszcie kwestia zasadnicza — **jak długo jeszcze kluby będą się zajmowały tylko zawodnikiem, a nie zawodnikiem — człowiekiem?**

Przyszedłem do Sławka przed południem. Drzwi otworzyła mi jego matka. „Sławek — powiedziała — mówił, żeby pana przeprosić, ale musiał iść na trening, bo gdyby nie poszedł potrąciliby mu 200 zł". Całą historię Sławka Sarny opowiedzieli mi jego rodzice. Być może, że ten 23-letni piłkarz skończy szkołę wieczorową (do której na razie nie ma ochoty wstarić) i zacznie naprawdę pracować. Może zda sobie w końcu sprawę z tego, że piłkarze nie otrzymują rent. Osobiście wierzę w Sławka. Ale co z resztą?

TADEUSZ WIĄCEK

Urodziłem się we Lwowie, gdzie uczęszczałem do szkoły średniej i konserwatorium im. Szymanowskiego (stypendysta).

Podczas okupacji studiowałem (z amatorstwa) filozofię ścisłą i matematykę. Po wojnie ukończyłem Akademię Medyczną w Łodzi (wydział stomat.) i praktykowałem jako lekarz na Ziemiach Zachodnich (Zielona Góra), gdzie zostałem skierowany w charakterze lekarza wojskowego przez WKR Łódź, publikując tam do roku 1956 w różnych pismach literackich i społeczno-kulturalnych krajowych.

Od 1961 r. jestem członkiem Związku Literatów Polskich Oddz. w Łodzi. Piszę i nadal pracuję w Spol. Służbie Zdrowia.

Wydałem tom wierszy pt. „VI smak", „Korzenie obok rzeki". W druku „Wspomnienie drzewa" (wiersze). W przygotowaniu „Pierwsze i drugie życie" (powieść). W opracowaniu tom wierszy.

ROMAN ŁOBODA

OBIECUJĄCY DEBIUT

Mamy więc kolejny debiut prozatorski łódzkiego poety. Niedawno ukazał się tomik prózy innego poety, Jerzego Waleńczyka. Niestety, „Sześcienną ciszę zmierzchu" krytyka przyjęła w zdumiewająco zgodnej tonacji („Współczesność", „Życie Literackie"). Z tym większym zainteresowaniem oczekiwaliśmy na tom prozy Romana Łobody.

Książka Łobody stosunkowo niedawno znalazła się na półkach księgarskich. Spróbujmy więc pierwsi (i miejmy nadzieję nie ostatni) zająć się tą interesującą pozycją. „Korzeni" nie da się zaszufladkować do tradycyjnych już rodzajów powieści. Nie odłoży tej książki ani zwolennik powieści sensacyjnej ani psychologicznej. Łoboda zaskoczył „Korzenia mi" nie tylko Wydawnictwo, ale i swoich czytelników, przyzwyczajonych (po tomiku „Szósty smak" i wierszach publikowanych w prasie) do niezbyt łatwej w odbiorze poezji. Nie znaczy to bynajmniej, że w „Korzeniach" autor poszedł na „łatwiznę". Zaczerpnięty z własnych obserwacji temat — ścieranie się ludzkich postaw w roku 1947 na Ziemiach Zachodnich, rozbudowuje autor w sposób dość precyzyjny i konsekwentny. Problemem, wokół którego ogniskuje się od początku uwaga autora jest psychika ludzi zamieszkujących w tamtych latach okolice Zielonej Góry, Gorzowa i Świebodzina. Z bogatej galerii postaci występujących w „Korzeniach" tylko nieliczne są traktowane przez pisarza w sposób marginesowy, reszta poddawana jest bardziej lub mniej wnikliwej analizie psychologicznej. Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że głównymi bohaterami powieści są: młody lekarz Tadeusz Wojno i leśniczy Zygmunt Karaś. Łączy ich tylko tragiczny w skutkach przypadek, po którym losy ich już się więcej nie przeplatają. Spośród nich tylko Wojno może cieszyć się sympatią czytelnika. Młody, dobrze zapowiadający się lekarz nie przyjeżdża na nowo pozyskane ziemie w celu przygód i łatwego zarobku, nie zmusza go do tego żadna okoliczność; po prostu chce tutaj budować swą egzystencję. Przypadek sprawia, że traci rękę i zaufanie otoczenia. W końcu zostaje zrehabilitowany, ale czy nie za późno? Autor nie daje odpowiedzi i pozwala snuć tutaj optymistyczne lub pesymistyczne domysły. Obok Wojny pokazuje Łoboda szereg innych „bohaterów pozytywnych" tamtych dni.

Ryta, Karczewicz, Szary to niekłamani bohaterowie tamtych czasów, z wszelkiego rodzaju ludzkimi wadami i sprzecznościami. Takich postaci występuje w „Korzeniach" najwięcej, ale obok nich pokazuje autor również tych, którzy robili wszystko, by Polska niepredko te ziemie odzyskała. Do nich przystaje Zygmunt Karaś, człowiek bez charakteru, tchórz, który zmuszony był uciekać w te strony z Rzeszowszczyzny. Autor nie stara się potępić czynów Karasia, próbuje wytłumaczyć je kompleksami, zahamowaniami, których Karaś nie może przezwyciężyć. Konsekwencja, z jaką autor kreśli drogę Karasia, jest na pewno psychologicznie umotywowana. Ale bogata galeria postaci występujących w „Korzeniach" nie pozwala nazwać Wojny i Karasia głównymi bohaterami powieści. Rysunek psychologiczny Karczewicza czy Ryty jest kreślony z tą samą wnikliwością. Akcja „Korzeni" toczy się dwoma torami,

Dokończenie na str. 8

fesorowie, pewnie sami nie wiedzieli. Kilku chłopów też dostało baty. Towarzysz porucznik myli się, konflikt nie jest urojony, pocięli się na tle spraw politycznych, wszystko leśniczemu powiedzieli. Teraz czekają na łącznika od Skrzetuskiego, major bierze ich do siebie, to coś mówi.

Kulawy ustąpił. Plan akcji był prosty. Oddział zlikwiduje obóz, silna grupa uderzeniowa pomaszeruje na północ i urządzi zasadzkę przy szosie. Powinna tamtędy wracać część żandarmów. Jeśli nie będzie ich dużo — atakować. Równocześnie Dąb weźmie pluton i dokona rajdu na obóz Żbika Wielkiego. Nie chodzi o walkę, należy unikać rozlewu krwi, raczej odstąpić niż strzelać. Sukces Dęba miał być politycznej natury, niech ludność wie, że Żbik Wielki nie jest absolutnym władcą w tym zapowietrzonym trójkącie: Olszyna—Zaliesie—Łopiany. Obóz zniszczyć, broń i amunicje zabrać, wreszcie jak najszybciej wracać.

Plan był prosty, całkiem do wykonania, a teraz Wołga jakby zwątpił, pali bez przerwy papierosy i powtarza w kółko: „po cholerę wysłaliśmy Dęba?".

— Boję się, że Dąb nie zdąży, tam jest podobno tylko jedna droga przez bagna, Żbik Wielki może szybko wrócić, przecież od razu połapie się, że nas nie ma — powiedział Wołga.

— Będą czesać cały rejon, zmarudzą co najmniej pół dnia, powinien zdążyć, zna dobrze teren.

Wołga wyczuł w głosie Kulawego ciepłe nutki. Pomyślał, że ten pozornie oschły magister doskonale wie o co chodzi. Wołga nie miał rodzeństwa, nie miał już ani ojca, ani matki, miał tylko Dęba.

— Dziękuję ci — uśmiechnął się blado do Kulawego.

Wołga przyspieszył kroku.

— Prędzej, zdaje się, że już zaczęli!

Pod lasem trzaskały automaty. Jak daleko do brzegu lasu? Kilometr, może pół. Oddział rozsypał się w tyralierę. Wilk i Kukułka pobiegli z erkaemami na skrzydła.

— Nie zdążymy, musieli zmienić godzinę — Dąb zarepetował pepeszę.

Kulawy został w tyle, kuśtykał jednak o lasce, na ile tylko pozwalała mu chora noga.

— Otwórzcie ogień, może przestaną strzelać!

Dąb puścił serię przed siebie, z prawej i lewej strony odezwały się erkaemy. Strzały pod lasem ucichły. Cisza oznaczała szansę, ale trudno było przewidzieć, co się już stało i czemu można jeszcze zapobiec. Biegli szybko potykając się o korzenie. Pierwszy wypadł z lasu Dąb, za nim Wołga i kilku żołnierzy. W kilkanaście sekund za nimi obsługa ustawiła cekaem.

Mieli przed sobą rozległą łąkę. Za nią ciągnęły się stawy, poprzecinane groblami, perspektywę zamykał kremowy pałac ostachowski. Wołga obserwował uważnie przedpole. Żandarmi musieli się ukryć w dołach, z których wydobywano torf. Być też może skoczył któryś w mogiłę, którą wykopali sobie skazańcy. Dół był obszerny, góra piasku wyraźnie odcinała się od zgniłej zieleni łąki. Jeżeli skoczyli i tam, musieli stać na ciałach pomordowanych, może zresztą deptali żywych?

— Patrz! — krzyknął Dąb — jeden jeszcze żyje!

Na łące, która wydawała się pusta, stał samotny człowiek z rękami podniesionymi do góry.

— Wal w tego za drzewem, bo nam rąbnie ostatniego!

— Gówno mu zrobię z pepeszy, za daleko.

W tej samej chwili zatrzeszczał erkaem Wilka. Żandarm, który klęczał za drzewem, podniósł się ociężale, objął pień, kołysał się jakiś czas w lewo, prawo, wreszcie padł. Dąb wyskoczył do przodu, biegł kilkadziesiąt metrów, przykurczony, prawie na czworakach, przystanął na chwilę, cisnął granat i skrył się za pryzmą torfu. Żelazne jajo rozerwało się przed dołem. Z dołu wygramoliło się dwóch żandarmów, zawirowali najpierw nieprzytomnie i popędzili w stronę grobli. Trzeci krzyczał przeraźliwie z głębi dołu.

— Hilfe, Blumental! Hilfe! Ich bin verwundet!

Ludzie Wołgi szli skokami do przodu. Żandarmi nie stawiali początkowo zorganizowanego oporu. Może na skutek zaskoczenia, a może dlatego, że zbyt często mieli do czynienia z ludźmi, którzy już przestali walczyć. Na rozkaz kaprala Blumentala, który dopadł właśnie grobli, znosili złoto, kosztowności, dolary, kupony wełny, na jego rozkaz kopali sobie grób, kładli się bez słowa obok siebie, twarzą do ziemi. Blumental szedł spokojnie spacerowym krokiem i strzelał, ale nie doznawał przy tym żadnych specjalnych uczuć. Ci ludzie nie żyli już od momentu, kiedy pan Hauptman kazał ich aresztować. Nie żyli już od kilku miesięcy, choć oczyszczali doły kloaczne, ćwiczyli godzinami przysiady, skandowali głośno: „wir sind verfluchte Juden" i grzebali drżącymi rękami w śmietnikach. Strzelać do człowieka, ukrytego za drzewem, który ma także automat? Nie, tego Blumental nie potrafił, podobnie jego koledzy.

Ale nie wszyscy. Ryży Julek i kilku innych próbowało zorganizować opór na poprzecznej grobli. Strzelali gęsto póki nie zaszedł ich z boku Wilk. Jedna krótka seria i rzucili się do ucieczki. Blumental nie miał szczęścia. Biegł na czele grupki żandarmów, pośliznął się jednak na grobli i wpadł do stawu. Zanim wdrapał się na powrót na groblę, koledzy byli już daleko. Dostrzegł tylko człowieka z erkaemem w rękach, krótki błysk na końcu lufy i stoczył się do wody. Wilk schwycił automat, porzucony przez Blumentala i strzelał w wodę, skoczył następnie na groblę poprzeczną i strzelał znowu.

Wołga nakazał odwrót. Jeszcze kilka minut, a nadejdzie pomoc i Niemcy ruszą do kontrataku. Wilk wycofał się z grobli, Wołga widział, jak szukał czegoś w wodzie. Samotny człowiek wciąż jeszcze stał z podniesionymi rękami.

— Abram! — krzyknął Dąb — my jesteśmy Wojsko Polskie, do lasu, za mną!

Abram położył zmęczone ręce na głowie, nie ruszył się jednak z miejsca.

— Bierz go! — rozkazał Wołga. — Wilk! Zajrzyj do dołu, może który żyje!

Abram nie był ciężki. Dąb przerzucił chude ciało przez ramię i pobiegł w stronę lasu. Cekaemiści składali karabin. Ciszę przerwały krótkie serie z automatu, to Wilk strzelał w otwartą mogiłę.

Oddział zniknął w gęstwinie. Lasy ciągnęły się ku północy na przestrzeni kilkunastu kilometrów, wszelki pościg za Wołgą skazany był z góry na niepowodzenie. Po dwóch godzinach marszu Wołga zarządził postój, ludzie musieli wypocząć. Dąb ubezpieczył oddział wartami, reszta rozłożyła się na miękkim poszyciu. Jak zwykle po walce żołnierze milczeli, ale tym razem milczenie miało jeszcze jedną przyczynę. Gdyby nadeszli kwadrans wcześniej otwarty grób wypełniliby żandarmi. Dlaczego nie przyszli wcześniej? Co stało na przeszkodzie?

Wołga oceniał sytuację na gorąco.

d. c. n.

NIE CZEPIAĆ SIĘ!

Czepianie się samochodów i tramwajów jest surowo zabronione. A jednak mimo wszystko ludzie się czepiają. Redakcje łódzkich dzienników otrzymują dziesiątki listów dotyczących komunikacji tramwajowej i samochodowej PKS, w których autorzy czepiają się MPK i PKS że tłok na jakiejś trasie, że konduktor był nieuprzejmy, lub bardzo uprzejmy, że trzeba by zmienić dotychczasową trasę np. „2", że mają daleko do przystanku itp. I trzeba powiedzieć, że MPK i PKS na listy czy to drukowane na tzw. łamach, czy też na te przesłane pocztą odpowiada bardzo rzetelnie i wyczerpująco redakcjom i autorom.

W 100-nym numerze „Dziennika Łódzkiego" z zainteresowaniem przeczytałem podsumowującą wypowiedź lekarza na temat „Lekarz — Pacjent" i m. in. znalazłem w niej takie oto sformułowanie".

„Uznajemy potrzebę krytyki prasowej, ale nawet w najsłuszniejszych jej przypadkach istnieje jednak niebezpieczeństwo poderwania zaufania do lekarza. A ten element — zaufanie do lekarza pozostaje decydujący w medycynie. Nowe metody, świetna aparatura, najnowsze leki, mają tym większe szanse skutecznego działania, im bardziej pacjent wierzy w lekarza, który bada, stawia diagnozę i wybiera metodę leczenia".

Wątpię, aby zwyczajny, szary człowiek poddawał w wątpliwość trafność lekarskiej diagnozy. I słuszność wybranej przez lekarza metody leczenia. A gdy ktoś uważa, że umie sobie postawić diagnozę i wybrać najodpowiedniejsze do zwalczenia choroby lekarstwo — czyli podaje w wątpliwość lekarskie kwalifikacje i to po niedawnej weryfikacji lekarzy, to niech leczy się sam, a nie chodzi do lekarzy, bo i po co? Ale rzecz w tym, że takie pretensje zdarzają się rzadko. To co może nie podobać się zwykłemu człowiekowi, to np. że lekarz spóźnia się nagminnie, że nie przyszedł na zapowiedzianą wizytę domową. Zwykły człowiek może mieć do lekarza (i na pewno ma) zaufanie jako do fachowca od leczenia. Natomiast niesłowność, niepunktualność lekarza oburza go, i właśnie o podobnych sprawach najczęściej pisze. A te zagadnienia zostały podciągnięte w wypowiedzi pod miano zaufania do lekarza. Jednym słowem macie rację czy nie, odczepcie się od lekarzy.

Przecież MPK i PKS za opublikowanie np. listu czytelnika skarżącego się na nieodpowiednie zachowanie motorniczego MPK czy kierowcę PKS-u może przysłać do redakcji zamiast rzeczowego wyjaśnienia notę utrzymaną w oschłym tonie za podrywanie zaufania do pracownika, który bądź co bądź jest przecież podczas jazdy odpowiedzialny jakby za życie pasażerów.

Podobnie może uczynić dyrektor gastronomii za listy krytykujące jego pracowników. Ale mimo wszystko jest odwrotnie. I to może nie dlatego, że jak powiedział Krasicki — „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi" — ale dlatego, że krytyka, słuszna krytyka, przyczynia się do uzdrowienia stosunków międzyludzkich i MPK, PKS i gastronomia i dziesiątki innych instytucji przełykają, przyjmują ba, czasem i dziękują.

A.

odgłosy TYGODNIA

OAZY na PUSTYNI

Ostatnio aura nie poskąpiła nam pogodnych dni. Poza tym optymiści twierdzą, że lato będziemy mieli upalne. Oby. W związku z tym jednak warto pomyśleć o napojach chłodzących i punktach ich sprzedaży. A z tą sprawą nie jest w Łodzi najlepiej. Nie odczuwaliśmy tego tak dotkliwie w ubiegłe, deszczowe lata. Ale jeśli okaże się, że optymiści mieli rację?

Niedawno przespacerowaliśmy się wzdłuż osi Narutowicza — Zielona. I co? Większość kiosków (na przestrzeni lat 1962—63) zniknęła. I tak: na skrzyżowaniu Kilińskiego i Narutowicza były dwa kioski z napojami chłodzącymi — jest jeden. Idźmy dalej — w okolicy rogu Sienkiewicza i Narutowicza były dwa kioski — nie ma żadnego.

Po przejściu Piotrkowskiej na rogu Zielonej i Al. Kościuszki były dwa kioski — nie ma żadnego. W okolicach Zielonego Rynku były trzy — a jeszcze dawniej cztery kioski — nie ma żadnego.

To tylko maleńki fragment Łodzi. A inne rejony? Zdajemy sobie sprawę, że likwidacja kiosków z napojami chłodzącymi podyktowana była w większości wypadków względami urbanistycznymi. Rozumiemy ważkość tych powodów, ale czy nie można znaleźć nowej lokalizacji? Trudno przecież dla wypicia butelki oranżady czekać godzinami w kawiarni czy restauracji na łaskawe zainteresowanie kelnera.

KLĘSKA

Jedną z największych „klęsk" trapiących nasz kraj są skutki likwidacji analfabetyzmu. Spowodowała ona, że po erze pary, elektryczności, atomu nastała era pisania podań, skarg i anonimów. W efekcie pewne instytucje większość czasu przeznaczonego na urzędowanie poświęcają odczytywaniu długich epistol. Najgorsza jest zresztą nie ilość ale jakość nadsyłanych podań — oryginalna składnia, niepowtarzalna ortografia. Oto kilka przykładów:

„Obecnie zajmuję z 25-letnia córką i synkiem pokój z kuchenką oraz drugą córką" (z podania). „ponieważ państfo w nowym budownitfie...", „Ten obus wrucił z więzienia i jest pod obserwacją milyciy.", „schandlnie i wpłacić kałcię..." (z anonimu). „Na rozprawie rozwiedziony p. X dowiedział się o rozwiedzionej p. Y rzeczy, które na najzdrowszej głowie mogły postawić włosy dęba", „Drugi problem, który nie można inaczej nazwać jak niesamowity p. Z. zrobiła rzecz fantastyczną i nieprawdopodobną — wpóścila (o zgrozo!) p. Y." (ze skargi).

W ten sposób opisane tragiczne nawet historie wywołują efekt wręcz przeciwny od zamierzonego. A że sterty podań, skarg i anonimów są coraz większe, bliski jest dzień kiedy być może za klęskę biurokracji winić będziemy nie urzędników a petentów.

J. D.

POKONTROLNE KWIATUSZKI

W dwustu dziesięciu zakładach pracy województwa łódzkiego została przeprowadzona przez specjalnie powołaną komisję trochę niecodzienna kontrola. Komisja mianowicie badała, w jaki sposób jest realizowany pięcioletni plan... kształcenia i dokształcania załóg, i jakie są jego praktyczne wyniki. Taki plan powstał swego czasu i miał zlikwidować całkowicie wszelkie braki w dziedzinie oświaty robotniczej. W wyniku przeprowadzonej kontroli okazało się, że w dwustu dziesięciu zbadanych zakładach pracy zatrudnia się — 15.549 osób do lat 35, które nie posiadają ukończonego podstawowego wykształcenia, w tym młodzieży do lat 18 — 187 osób. Liczba piękna jak kwiatek, a wyglądać będzie jeszcze piękniej, jeżeli powiemy, że aktualnie z tych ponad piętnastu tysięcy osób, uzupełniają swoje wykształcenie podstawowe zaledwie 3.994 osoby (25 proc.). A teraz kilka konkretnych przykładów: — w Łęczyckich Zakładach Górniczych na 415 osób bez wykształcenia podstawowego, dokształca się — uwaga: — 8 (słownie: o s i e m!) osób, natomiast administracja ŁZG przestała w ogóle planować skierowania do szkoły, gdyż — jak twierdzi — w ŁZG brakuje tzw. możliwości. W Tomaszowskiej Fabryce Dywanów i Chodników na 185 osób — dokształca się — 12 (d w a n a ś c i e!), w Zakładach Przemysłu Bawełnianego w Zelowie na 459 — 58 osób.

A oto przykład swoistego realizowania zaleceń pięcioletniego planu dokształcania: w Moszczenickich Zakładach Przemysłu Bawełnianego pracują 524 osoby bez ukończonego wykształcenia podstawowego. Uczy się z nich — szesnaście osób. Z powodu więc tak niskiej liczby uzupełniających swoje wykształcenie, przyzakładową szkołę podstawową dla pracujących — po prostu z l i k w i d o w a n o. Mądrze, prawda? Rozwiązanie uniwersalne, co my się będziemy łamać?

Kwestia oświaty robotniczej urasta do palącego problemu społecznego. Niedawno odbyte plenum KW ZMS w Łodzi przyjęło na barki organizacji ZMS odpowiedzialność za ten stan rzeczy i w najbliższym czasie rozpocznie się wielka kampania przeciwdziałania. Jednakże, sama organizacja ZMS, choć wiele może (a wiele już zdziałała, na przykład w Uniwersytetach Robotniczych rozpoczęło naukę w roku szkolnym 1962-63 1856 osób), wszystkiemu nie zaradzi, zwłaszcza zaś temu wielkiemu grzechowi, jakim jest krótkowzroczna obojętność, prawie indolencja wielu administracji zakładowych.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 344-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— * Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy"
Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17
Zam. 1483. V. 63. K-4

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW

KRYSTYNA NYC-WRONKO

Krystyna Nyc-Wronko — czołowy sopran Łódzkiej Operetki.

Znamy ją z wielu interesujących ról — żeby wspomnieć tylko: Aniela — w „Zemście Nietoperza" J. Straussa, Angele — w operetce „Hrabia Luxemburg" Lehara, „Bal w Savoyu" Abrahama, „Daj buzi, Kate" Cole Portera.

Dla sympatyków Krystyny Nyc-Wronko szczególnie interesujące jest jej ostatnie osiągnięcie w „Can-Canie" Cole Portera, gdzie — wbrew warunkom wokalnym — znakomicie poradziła sobie z trudną partią Pistache.

Tekst i foto: — *Gerard Puciato*

RZECZ ZA CARATU

W r. 1903 byłem uczniem drugiego progimnazjum w Warszawie przy ul. Złotej. Tam na ławie szkolnej spotkałem się z Julianem Brunem, który wciągnął mnie do pracy konspiracyjnej w „Proletariacie". Oświeczył mi, że skoro mój stryj jest redaktorem „Nowej Gazety", to ja na pewno posiadam zamiłowania dziennikarskie. Więc go pytam, co będę redagował. Na to Julek — będziesz redaktorem do spraw kolportowania prasy konspiracyjnej, czyli tzw. bibuły. Bardzo mi to zaimponowało. Tegoż roku Jan Władysław Dawid, redaktor „Głosu", sympatyzujący z Proletariatem dowiedział się o moich zdolnościach kolporterskich. Pozwolił mi więc dwa razy w tygodniu przychodzić do redakcji „Głosu" i uczyć się korekty. Tak to się zaczęło.

* * *

Inspektorem drugiego progimnazjum był Rosjanin — historyk — Piotr Gawrylowicz Baran-Butowicz. Człowiek elegancki i jak na owe czasy postępowy, gdyż obok historii czarnosecińskiego autora Iłowajskiego zalecał nam czytanie postępowego Pisarewa. Pewnego dnia na pauzie darłem się w niebogłosy po polsku. Zostawiono mnie w karcerze (koza). Gdy tak rozpamiętuję krzywdę, jaką mnie spotkała, wchodzi inspektor Baran-Butowicz i zapytuje:

— A wy za czto, mołodoj czeławiek sidzitie?

— Za to czto ja gawaril po polsku.

— Niet, brat nie za to, a za to, czto nie choczesz gawarit po ruski!

OBIECUJĄCY DEBIUT

Dokończenie ze str. 7

przeżycia Karasia i przeżycia Wojny. Stąd pierwsza warstwa powieści, sensacyjna i druga psychologiczna. Wydaje mi się, że bardziej udały się autorowi te partie, które dotyczą przeżyć Wojny, mimo pewnych naleciałości ekspresjonistycznych. Droga Karasia jest zbyt schematyczna i ta część książki stanowi dużo słabszą jej stronę. Autor nie powiedział tu nic nowego. Jednakże obraz stosunków panujących w tamtych czasach odmalowany jest z wyrazistością. Pod sensacyjną otoczką dostrzegamy rysy psychiczne ludzi tamtych czasów. I to właśnie jest atutem „Korzeni".

Z kompozycją całości Loboda poradził sobie nieźle, szczególnie w pierwszych partiach książki, końcowe są nieco słabsze (trochę porwane i miejscami zagmatwane). Nie uchronił jednak języka przed „naleciałościami" poetyckimi. Stąd: „Ogień wspinał się po piramidzie drzewa, przedzierał się przez węgiel i ostrzem uderzał w koks". Nie wpływa to zresztą na rozproszenie toku narracji, i „Korzenie" czyta się „jednym tchem".

Można mówić o „Korzeniach", że jeszcze tu i ówdzie nie jest to powieść „dopracowana", że niektóre fragmenty rażą wymyślną sztucznością, ale chyba dla nikogo nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z debiutem udanym.

T. WIĄCEK

Roman Loboda. „Korzenie obok rzeki", Wydawnictwo Łódzkie str. 240, zł 21.

CO w terenie?

Z okazji 1 Maja społeczeństwo Wielunia otrzymało piękny i bardzo potrzebny prezent od spółdzielczości pracy — wielki, nowoczesny kinoteatr obliczony na 584 miejsca. Budowa tego największego w województwie obiektu, trwała tylko trzy lata! Okazuje się, że można jednak budować szybko, jeśli bardzo się tego chce... Poddajemy to między innymi pod rozwagę organizatorom budowy kina w Piotrkowie, którzy od czterech lat „męczą się" bez widocznych efektów, przedsiębiorstwu, które przez dwa lata bez mała przeprowadza... remont jedynego kina w Kolumnie, czy wreszcie budowniczym legendarnego już Teatru Narodowego w Łodzi, z którego oby nasze wnuki dożyły pociechy! Przy okazji: czy wiecie, że budowa słynnej świątyni króla Salomona trwała zaledwie 7 lat, mimo że nie znano wtedy nawet koparek kroczących...

■

W niedzielę, 5 maja w sali Międzyzakładowego Domu Kultury w Pabianicach odbyły się wojewódzkie eliminacje IV Festiwalu Zespołów Chóralnych, organizowanego przez Wydziały Kultury Prezydium Miejskiej i Wojewódzkiej Rady Narodowej, WKZZ i Łódzkie Towarzystwo Muzyczne. W przeglądzie wzięło udział 16 chórów z terenu województwa.

■

3 maja odbyła się w Łowiczu uroczysta inauguracja obchodów tegorocznych Dni Oświaty, Książki i Prasy, połączona z oddaniem do użytku kina panoramicznego.